AS



Nr. 37 RYBA KSIĘŻYCOWA

księżniczki akwarjów



Ryba księżycowa.
Fot. P. Popper, Londyn.

Szczególną sympatją miłośników akwarjów cieszą się rybki egzotyczne. Hodowla ich jest znacznie trudniejsza od rybek żyjących u nas n. p. pospolitego ciernika czy różanki, przedewszystkiem przez konieczność stałego utrzymania podwyższonej temperatury, do której przywykły mieszkanki wód tropikalnych. Trud ten zostaje opłacony pięknością zamorskich przybyszów. Te właśnie gatunki rybek egzotycznych sprowadza się do akwarjów, które cieszą się bogactwem i pięknem zestawieniem barw, a zdumiewać nieraz mogą niezwykłą formą i wykształceniem.

Dobrą stroną hodowli rybek tropikalnych jest to, że naogół nie wymagają one większych przestrzeni i że w małych akwarjach trzymają się nieraz po parę lat nawet bez zmiany wody. Śmiertelność rybek egzotycznych w dobrze i starannie prowadzonych hodowlach jest mała. Znajomość bowiem warunków naturalnych danego gatunku i doświadczenia hodowców pozwalają nieraz na stworzenie korzystniejszych nawet warunków życia, aniżeli rybki mają na wolności.

Ze wszystkich zakątków świata, a głównie z rzek południowej Ameryki, z nad Zatoki Meksykańskiej, z Chin, Indyj, półwyspu malajskiego i archipelagu sundajskiego, nadsyłają dużym specjalnym firmom, zajmującym się hodowlą i rozsyłaniem mieszkanek akwarjów, rozmaite odmiany rybek egzotycznych. Są dzisiaj miłośnicy akwarjów, którzy mogą się pochwalić posiadaniem ponad 200 gatunków. Wiele z hodowanych gatunków doskonale rozmnaża się w niewoli, co umożliwia amatorom hodowli rybek prowadzenie wymiany, podobnej do wymian filatelistycznych.

Jedną z najpospolitszych rybek ozdobnych, najczęściej spotykaną w akwarjach jest złota rybka czyli karaś chiński. Jest to bliski krewniak naszego karasia, od którego jest mniejszy, a odznacza się piękną czerwonawo-złocistą barwą. Złota rybka była hodowana od bardzo dawnych czasów w Chinach a następnie w Japonji w sadzawkach i szklanych, często bogato zdobionych naczyniach. Do Europy została przywieziona przez Portugalczyków w XVII-tym wieku. Za czasów pani de Pompadour zachwycano się już w salonach francuskich tą rybką chińską i z Francji, a następnie Anglji i Niemiec powoli rozpowszechniała się hodowla złotej rybki na całą Europę.

Przez długie lata była ona jedyną rybką egzotyczną trzymaną w akwarjach a i dziś stanowi główny przedmiot transakcyj firm hodowlanych. Hodowana od pokoleń przystosowała się doskonale do klimatu środkowo-europejskiego i może być trzymana w sadzawkach, znosi nawet zimy, byleby tylko zbiornik wodny był dostatecznie głęboki i nie zamarzał do dna. Niemniej jednak najlepiej czuje się rybka złota w temperaturze od 25 do 30 stopni.

Pięknie złociste odmiany otrzymali cierpliwi hodowcy chińscy przez dobór sztuczny, wybierając stale do rozmnażania okazy najbardziej złote. Wyhodowana w ten sposób złota odmiana karasia stała się ulubionem stworzeniem Chińczyków trzymanem zarówno w domach zamożniejszych jak i biedaków.

W akwarjach spotykamy też t. zw. makropody, należące do tej samej rodziny ryb, co t. zw. łaziec (Anabas), posiadający zdolność wychodzenia na ląd i przebywania tam przez pewien czas. Liczne gatunki tej rodziny pochodzą z Chin, Indyj i półwyspu malajskiego. Ubarwienie makropod jest piękne i bardzo rozmaite. Najczęściej są one barwy szaro-zielonawej, przechodzącej na bokach w odcień niebieskawy z czerwonymi pasami poprzecznymi. Szerokość tych pasów a nawet ich układ zależą od stanu psychicznego ryby.

Z innych ryb hodowanych w akwarjach należy wspomnieć rodzinę Cichlidae, należącą do ryb zrosłogardłych. Bardzo charakterystyczną cechą tej rodziny jest wielka troskliwość o potomstwo. Ikrę składają przeważnie w zagłębieniach dna lub w wygrzebanych specjalnie na ten cel jamkach, na kamieniach i korzeniach, strzegąc jej i broniąc przed nieprzyjaciółmi. Również i młodemi, które po paru dniach wylęgają się ze złożonej ikry, opiekują się troskliwie i stają w ich obronie. Istnieją tu gatunki, których samiczki zbierają ikrę do pyszczka i tam przechowują ją. Co więcej — młode, również przez pewien czas przebywają w pyszczku matki, która wygląda wtedy jak zapuchnięta. Gatunki składające ikrę w zagłębieniach dna przenoszą często swe młode do nowych jamek i troskliwie niemi się opiekują. Większość należących tu ryb pochodzi z Ameryki i Afryki, niektóre tylko z Azji.

Przepięknym przedstawicielem tej rodziny, wzbudzającym stałe najżywsze zainteresowanie wśród miłośników akwarjów, jest ryba księżycowa, czyli żaglowiec (Pterophyllum scalare). Jest to niewielka rybka, żyjąca w wodach Amazonki i jej dopływach.

Dokończenie na str. 31-ej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 37 **Niedziela, 12 września 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 37-GO:

„KSIĘŻNICZKI" AKWARJÓW.
O mieszkance wód Amazonki, rybie księżycowej i innych pięknych okazach egzotycznej fauny podmorskiej, żyjących w naszych akwarjach. Str. 2.

SZANGHAJ — MADE IN USA.
W mieście, którego losy ważą się w wojnie chińsko-japońskiej, obserwujemy olbrzymie kontrasty, wynikające z modernizacji „Królowej Oceanu Spokojnego". Str. 4—5.

REJESTR STRASZNYCH SNÓW.
Teorja Freuda na codzień. — Napisał Feliks Dangel. Str. 6.

POLSKA SZTUKA GOTYCKA.
Zabytki dawnego snycerstwa w świetle najnowszych badań. — Napisał dr Alfred Brosig, kustosz Muzeum Wielkopolskiego. Str. 8.

WYWIAD Z ROBERTEM TAYLOREM.
Co opowiedział o swem życiu słynny gwiazdor filmowy? Str. 13.

JESIENNE CIĄGI.
Dokąd i z kim jechać jesienią, gdy w tym czasie wypadnie urlop? Praktyczne rady i wskazówki doświadczonego globtrottera. Str. 14—15.

ZIEMIE, KTÓRE ZRODZIŁY SŁYNNYCH POLAKÓW.
Mapa, wykazująca graficznie, które okolice Polski wydały największe talenty pisarskie, muzyczne i malarskie. Str. 16—17.

NA LODOWEJ PUSTYNI.
Przebieg wyprawy polarnej Andréego w świetle dokumentów, odnalezionych na lodowej pustyni. Str. 18—19.

Z teki muzycznej „Asa":
ŚPIWKI Z ORAWY
w opracowaniu prof. dr Zdzisława Jachimeckiego. Str. 22.

Trzy nowele. — Moda męska. — Kącik filatelistyczny. — Poranna gimnastyka. — Kosmetyka. Dział gospodarstwa domowego. Na scenie. — Nowe książki. — Program radjowy.



Ziuta Buczyńska, laureatka warszawskiego i wiedeńskiego międzynarodowego konkursu tańca, oraz festivalu przedolimpijskiego — zwana „ambasadorką tańca polskiego" — po sukcesach artystycznych na wystawie paryskiej przebywa nad polskiem morzem w Jastrzębiej Górze.



SZANGHAJ made in U.S.A.

Fragment portu w Szanghaju.



Dzielnica europejska jarzy się od neonów.



Na lewo: Żebracy podpływają w baljach pod okręty zawijające do portu w Szanghaju.

Chiny współczesne modernizują się w tempie nadzwyczaj szybkiem, w tempie, który zwykliśmy zwać „amerykańskiem". Z gorączkowym pośpiechem odrabia się czas stracony, przyswaja się wszystko, co uchodzi za ostatni wyraz postępu. Chiny dzisiejsze, republikańskie czynią wszystko, by upodobnić się do swej wielkiej rywalki — Japonji. Jako takie, stały się dziś krajem kontrastów, gdzie obok form pradawnych, uświęconych tradycją wiekową, cichych i zmumifikowanych, wre i kipi szalony wir życia współczesnego.

Najżywiej uzewnętrznia się to w Szanghaju, chlubie Chin nowoczesnych, mieście raczej kosmopolitycznem, niż chińskiem, (zowią je miastem 46 narodów). Szanghaj stał się dziś ośrodkiem Chin modernistycznych, zapatrzonych we wzory amerykańskie, stał się punktem centralnym międzynarodowych kombinacyj finansowych, miejscem, gdzie krzyżują się interesy handlowe i przemysłowe licznych państw, gdzie rodzą się i rosną zakrojone na olbrzymią skalę transakcje.

To portowe miasto, zwane „królową Oceanu Spokojnego", czyni wszystko, by dorównać miastom jankesów po drugiej stronie oceanu. Chce być amerykańskiem i — jak to zwykle bywa — popada w przesadę, kopjując swój wzór. Wszystko, co uchodzi za „amerykańskie" w gorszem — niestety — znaczeniu, a więc brutalna reklama, teatry, kina, dancingi, jaskrawe światło, kosmopolityzm, moda, kuchnia i t. d. — wszystko to spotykamy w Szanghaju mniej lub bardziej zniekształcone otoczeniem, dostosowane do chińskich potrzeb i form.

W porannym dzienniku „China Press" i w wieczornym „Evening News" olbrzymie ogłoszenia: „Przygotujcie się na największe przeżycia kinowe waszego życia!" — „Przyjdźcie wszyscy, dołączcie się do 10 miljonów entuzjastów gwiazdy filmowej X. Y.!„ Jest to brutalnem, jak amerykański jazz, krzykliwem, jak murzyńska orkiestra „made in U. S. A", prymitywnem, jak kuglarski trick, lecz może właśnie dlatego podoba się tak Chińczykom, których psychika jest zarazem skomplikowana i prostacka, barbarzyńska i dziecinna. Tłumnie garną się do kin i teatrów, nie zdając sobie sprawy z żałosnej płytkości i naiwnego zakłamania rzeczy i spraw, które tu oglądają. Śmieją się i entuzjazmują historyjkami bez związku, żartami i dowcipami bez sensu, a domorośli, chińscy ludzie kamery biorą się również do pracy i demonstrują swe „rodzime" chińskie filmy, sporządzane według oklepanych wzorów hollywoodzkich.

Dalszą amerykańską cechą, to budynki. T. zw. „Bund" jest dumą Szanghaju. Nad wybrzeżem stoi rząd różnolitych budynków. „Asiatic Petroleum", „Shanghai Club", „Union Building", „Hong Kong Bank", „Sassoonn House" i t. d. Niczem z dumą wystawiana na pokaz kolja brylantowa nowobogackich. Bardzo jaskrawe brylanty, lecz o wysokiej wartości. Olbrzymie płaszczyzny reklam zniewalają wzrok przybysza, skoro tylko opuści statek — zakrywając czczość tła i sztafażu. Olbrzymie, wielopiętrowe cytadele banków i przedsiębiorstw, których bram strzegą symbolicznie dwa lwy z bronzu, czyhające na zdobycz — na złotą zdobycz — spoglądają obojętnie na fale ludzkich głów, rozbijających się u ich podnóża, na leżące w porcie okręty obce i własne, czekające na towar lub na wyładowanie.

O dwunastej i czwartej, z chwilą zamknięcia biur, milknie nagle codzienny gwar w tych cytadelach, a ich załoga — stenotypistki, urzędnicy, maklerzy, telefonistki, woźni wszelkich ras i odcieni skóry — wszystko to wylewa się na uli

cę i ginie tam bez śladu, jak pył węglowy parostatku w oceanie.

W r. 1922 dziesięcio piętrowy North China Building był najwyższym budynkiem Szanghaju. W międzyczasie pojawiło się ponad 3000 nowych, okazalszych. Dziś pierwsze miejsce zajmuje prawdziwie nowojorski drapacz chmur „Joint Saving Society". Dziesiątego grudnia 1934 r. otworzył burmistrz złotym kluczem bronzowe podwoje 22 dwupiętrowego budynku straży pożarnej. W następnym już roku przybyły miastu jeszcze 3 podobne budynki innych przesiębiorstw i towarzystw. W Bubbling Well oferuje się mieszkania luksusowe z t. zw. „sun room" na wysokości 50 m nad ulicą, co umożliwia opalenie się aż do koloru tynktury jodowej w samem centrum olbrzymiego miasta, bez wyjazdów na plaże Tsingtau'u, lub Peitai-ho, gdzie ta przyjemność słono kosztuje.

Dumą Szanghaju jest t. zw. „Sassoon House", w którym mieszczą się wyłącznie biura. Olbrzymi budynek, wybudowany po to, by ludzie businessu, których zawód wymaga pośpiechu, mogli tu załatwiać wszystkie swe interesy w najkrótszym czasie na najmniejszej przestrzeni. Ul ludzki, z niezliczonemi, poszczególnemi komórkami, wychodzącemi na niekończące się korytarze. Można tu załatwić wszystko w każdem miejscu, bez biegania po piętrach i biurach. Można zawrzeć umowę asekuracyjną, udzielić zlecenia bankowego, podpisać kontrakt kampanji reklamowej, dać się zbadać przez radjologa, zaplombować zęba, można nabyć cukier, instrumenty chirurgiczne, jedwab, bawełnę, antyki, silniki, kapelusze damskie i t. d.

Dalszą amerykańską cechą Szanghaju, to kosmopolityzm. W grudniu 1934 r. udzielała pomocy tutejsza Armja Zbawienia 462 bezrobotnym 40 tu różnych narodowości. Sześć miesięcy wcześniej mógł tu mistrz szachów dr Alechin, rozegrać turniej z przedstawicielami 18 tu państw Codziennie czyta się następujące ogłoszenia: Niemiec, energiczny, szuka jakiegokolwiek zajęcia; Szkot, doświadczony w imporcie i eksporcie; Estończyk, fachowiec rolnik; Anglik, elektrotechnik; Nowo-Zelandczyk, dozorca robót publicznych; Filipińczyk, woźny; Polak, robotnik rolny, inżynier i t. d. W Settlement, t. j. w dzielnicy angielskiej, istnieje legja ochotnicza, składająca się z 20 tu kompanij, w których służą przedstawiciele tyluż narodowości.

Wreszcie na wystawach widać towary, sprowadzane z całego świata. Najlepiej jest reprezentowaną Japonja ze swemi wyrobami jedwabnemi i wełnianemi, hodowanemi perłami, langustami, wyrobami z blachy i gumy, zabawkami. W równym stopniu Ameryka, z jej konserwami i papierosami, garażami i stacjami benzynowemi; Anglja materjałami, przyrządami sportowemi, ubraniami i męską bielizną; Filipiny, kapeluszami słomkowemi; Wyspy Hawajskie ananasami; Sowiety produktami rolniczemi; Polska szynką i zapałkami; Alaska łososiami; Australja, masłem; Hongkong młodym groszkiem w puszkach itd. itd.

A cóż dopiero powiedzieć o instytucjach rozrywkowych: teatrach, kinach, kabaretach, nocnych lokalach! „Shanghaj Club" i „Nord Szechouen Road" cieszą się ustaloną sławą wśród rzeszy międzynarodowych hulaków i bon-vivantów. Są to największe i „najwytworniejsze" lokale rozrywkowe całego świata, z armją kurtyzan, jakich nie powstydziłaby się Subura w okresie największych orgij. Tu, jak i w niezliczonych podobnych instytucjach, aż do ostatnio-rzędnych, najobskurniejszych, pije i tańczy cały świat przy dźwiękach filipińskich orkiestr lub automatycznych fortepianów, we frakach, godnych najlepszych krawców londyńskich, lub w marynarskich, słoniowatych spodniach, wytłuszczonych i obtarganych. Tańczą i piją przedstawiciele wszystkich narodowości z tubylcami i z przybyszami z całej Eurazji, zapoconymi, wychudzonymi przez klimat, choroby i gorączkowe tempo życia, z twarzami purpurowemi od najprzedniejszych win lub fałszowanej whisky — i tak aż do ostatniego tchu, do ostatniego przebłysku świadomości, czy ostatniego cen-

Dokończenie na str. 20-tej



Na lewo: Szanghaj przyszłości — plan rozbudowy miasta, który częściowo już zrealizowano.

Poniżej: Oto jak wygląda dzielnica robotnicza Szanghaju.





Reklamy neonowe przypominają nowojorski Broadway.



Na lewo: Widok na dzielnicę europejską Szanghaju.



Sen o lataniu. — Rys. F. Dangel.

REJESTR STRASZNYCH SNÓW

Pamiętamy z lat naszych młodocianych poza ułamkami zabawek, które nam były najmilsze, poza najradośniejszemi wspomnieniami i te chwile przeokropne, gdyśmy z biciem serca nad ranem oczy trwożliwie otwierali, na świat rzeczywisty spoglądając, błądzący jeszcze w mgławicach minionych snów.

Śniły nam się rzeczy wtedy straszne. A nieodzownem ich zakończeniem i jak gdyby epilogiem były rady zasięgane bądź u zaufanych naszych rówieśników, bądź też i u jakiejś ciotki czy niani, do której mieliśmy specjalne zaufanie. I wtedy odtwarzaliśmy sny ponownie, czekając wyroku i tłumaczenia z ust nieomylnej wróżbitki, a sen o spadnięciu z konia czy utonięciu kończył się zawsze przepowiednią dwói z matematyki, albo, co gorsza, zakwestjonowaniem promocji do następnej klasy.

Gdy śniły się pająki, wielkie uskrzydlone owady, czy niemiły pan profesor, szło się do Mikołajowej, która ze skórzanego futerału dobywała odwieczne okulary, przez chwilę grzebała czegoś na dnie kuferka, aby wydobyć z wnętrzności jego jakąś księgę żółtą i postrzępioną, rozłożyć ją na kuchennym stole i zapytać wreszcie:

— Więc pająk, powiadasz? wielki ze strasznemi ślepiami?

— Tak, okropny!

Przez chwilę starowinka szperała po rozlatujących się kartkach, by wreszcie przeczytać wyrok hiobowy:

— „Pająka czarnego na rozstajnych drogach widzieć północną porą, albo się z nim gryźć... strata pieniędzy".

— A profesor, co to znaczy?

— Profesor — zaczekaj, o tu jest i o profesorze. „Profesora starozakonnego w bieliźnie na białym koniu widzieć, porzuci cię ukochana"... E... ale to chyba nie dla ciebie, boś jeszcze za smarkaty.

Tak się kończyły nasze młodociane sny w okresie rozwojowym i taką była ich wyrocznia domowa, a działo się to wtedy zapewne, gdy już pod psychoanalizę kładziono pierwsze kamienie węgielne, by stworzyć z niej kiedyś wielką konstrukcję gmachu badań, studjów nad świadomością, podświadomością, nad całą skomplikowaną aparaturą naszej psychiki, której akumulatorem jest mózg, a nadawczym aparatem świadome życie.

Trudnoby w ramach jednego feljetonu omówić skomplikowaną symbolikę widziadeł sennych, która jest przecież niczem innem, jak gdyby baśniowem przetransformowaniem naszych przeżyć minionych, naszych dążeń i namiętności niewyżytych, cały świat snów przeróżnych, którego reżyserem bajecznego teatru jesteśmy my sami poza naszą świadomością.

Widziadła senne, które tyle zainteresowań zaprzątają w naszem świadomem życiu, a stanowią tak bardzo różną mozaikę inscenizacyjną, zależne są przedewszystkiem, jak już powiedzieliśmy, od naszych przeżyć minionych, naszych skłonności i właściwości tak fizycznych, jak i psychicznych, i opisywanie ich różnorodności mogłoby wypełnić jak największą bibljotekę świata.

Niemniej jednak i w tak barwnym świecie da się przeprowadzić pewien szablon, jak gdyby szablon snów powtarzających się omal że u każdego z małemi warjantami, snów t. zw. strasznych, które Freud nazywa „Angst — Träume". Są to sny może różnie wyreżyserowane, posługujące się różnemi akcesorjami w szczegółach, niemniej jednak treścią i założeniem niesłychanie do siebie podobne, a czasami omal że identyczne.

Pierwszym, najbardziej charakterystycznym snem będzie „sen o lataniu". Na wiele tysięcy lat przed pierwszym samolotem braci Wright człowiek już śnił o unoszeniu się w przestworzach, co bynajmniej jednak nie oznaczało dążeń jego do pokonania przestworzy, a co z języka symbolicznego snu przetłumaczyć by się dało na chęć wyzwolenia się fizycznego czy psychicznego, czy to z obowiązku narzuconego nam przez konwenans, czy też krępujących nas stosunków z ludźmi. Dążenia i chęci niewypowiedziane czy krępowane przez świadomy logos w naszem życiu, wyżywają się w śnie w postaci fantastycznego szybowania w przestworza.



...droga wiedzie przez grząskie bagniska.
Rys. F. Dangel.

Drugim niesłychanie charakterystycznem widziadłem sennem jest sprawa spadania czy utraty równowagi. Widziadło senne przedstawia się nader sielankowo. Spacerujemy sobie po drucie telegraficznym, ponad szczytami miasta, doskonale opanowawszy zmysł równowagi, gdy w tem drut jak gdyby się skończył. Stoimy nad przepaścią, żonglerska nasza pewność gdzieś znika i tracąc równowagę spadamy w dół, przed samem śmiertelnem zetknięciem się z trotuarem, budząc się z biciem serca, zlani potem.

Są to sny, które potrafią mieć przeróżne wytłumaczenia. Nawiedzają one przeważnie po poważnych przeżyciach nerwowych, zetknięciu się z ludźmi, których posądzamy o nieszczerość lub zdradliwe zamiary wobec nas, widziadła podobne zresztą powoduje też i lęk o kwestję naszego bytu, utajony, a zawsze tkwiący w nas rozsądkiem przygłuszany, wyżywający się jednak w śnie, w inscenizacji tak bardzo męczącej dla człowieka.

Niewykonane zobowiązania, które są jak gdyby całodziennym utajonym naszym wyrzutem, nienapisanie ważnego listu na czyjąś prośbę, czy też trudny obowiązek, który mamy do wypełnienia, a z wykonaniem którego zwlekamy, nastręcza sny po ciężkiej drodze. Mamy do przebycia długą przestrzeń gdzieś aż do widniejącego na horyzoncie pasma gór, a droga wiedzie przez grząskie bagniska, w które zapadamy się po kolana. Każdy krok jest strasznym wysiłkiem, nogi ciążą nieznośnie, a jednak brniemy dalej, aż do... obudzenia się.

Specjalną kategorję snów lękowych, a bardzo często spotykanych w opowiadaniach naszych znajomych stanowią sny, których osnową jest zażenowanie się. Jesteśmy w towarzystwie wytwornie ubranych pań, bądź udajemy się na audjencję do jakiegoś dostojnego monarchy i w tej samej chwili, kiedy przekraczamy próg pałacu czy sali tronowej, spostrzegamy z przerażeniem, że wobec odświętnie ubranych osób znaleźliśmy się w nocnej koszuli. Opanowuje nas lęk przeraźliwy, wstyd i zakłopotanie, gotowiśmy się zapaść pod ziemię w sennem widziadle, obciągamy na nagie kolana nocną chlamidę. Spostrzegamy wyrazy oburzenia w otoczeniu i lada chwila wygalowany lokaj wyrzuci nas za drzwi.

I wtedy najczęściej powracamy do świata zdarzeń istotnych, do jawy.

Ktoćby pomyślał, że tak wysoce kłopotliwy sen, napędzający nam tyle wstydu i utrapienia, posiada podłoże w uczuciowych naszych dążeniach czy namiętnościach, a w symbolicznym języku bajki sennej w ten sposób wypowiada się miłość.

Najłatwiejszem wytłumaczeniem snu i zrozumieniem symboliki czy chińszczyzny jego języka będzie porównanie go z bajką Krasickiego, bądź La Fontaina. W bajce zwierzęcej kruk rozmawia z lisem, wilk feruje wyroki na owce jako sędzia, żaba rozmawia z puchaczem, a sikorka z wilgą. Słuchamy języka tych zwierząt, zachwycamy się trafnem antropomorficznem zestawieniem tych istot, wiemy, że to jest przecież tylko bajka, bajka mająca sens w przewodniej myśli moralnej, którą wyraża.

Podobnie też dzieje się z widziadłami sennemi. Sama inscenizacja widziadła będzie właśnie tylko akcją bajki, sensem zaś moralnym będzie podłoże nasze psychiczne, bądź fizjologiczne, które wyżywa się i wypowiada w tak bardzo skomplikowanym języku.

Feliks Dangel.



...lada chwila lokaj wyrzuci nas za drzwi.
Rys. F. Dangel.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Na wstępie musimy omówić jak zwykle kilka bardzo ciekawych seryj nowości, których mamy doprawdy zatrzęsienie. Z politycznego punktu widzenia rewelacją są znaczki Małej Ententy. Czechosłowacja, Jugosławja i Rumunja wydała dawno zresztą zapowiedziane serje po dwa egzemplarze, noszące właśnie napis „Petite Entente“, na których trzy połączone koła mają przedstawiać zacieśnienie stosunków politycznych tych krajów. Rumuński znaczek w formacie normalnych obiegowych przedstawia klasztor w Curtea de Arges, gdzie spoczywają zwłoki królów rumuńskich z dynastji Hohenzollernów. Wartość za 7,5 lei posiada barwę ultramarynową, za 10 l. niebieską. wykonanie — jak zawsze dla bieżących Rumunji heliograwura.

Trochę mniej udane są znaczki Jugosławji, za 3 d. zielono-niebieski i za 4 d. stalowo-niebieski. Wobec małego formatu 24×27 mm fotografja położonego na wzgórzu kościoła w Oplenac jest zbyt niewyraźna. Niewiadomo z jakiego powodu najdroższe są chwilowo czeskie znaczki (Hradszyn) o wartości 2 kc, zielona i 2,5 kc niebieska. Format jak dla normalnych krajobrazowych.

Wskutek braku miejsca reprodukujemy tylko najładniejsze sztuki z nowej serji sportowej rumuńskiej, która ukazała się bynajmniej nie spowodu jakiegoś rekordowego wyczynu, lecz tylko z okazji 7 rocznicy założenia Rumuńskiego Związku Związków Sportowych. Wobec bardzo różnych formatów (25+25 b. oliwna i 50+50 bani bronzowa 40×27 mm, 1+1 lei fioletowa i 6+2 lei c. karminowa 27×37 mm, 2+1 lei c. zielona 29×37 mm, 3+1 lei czerwono-bronzowa 33×27 mm, 4+1 lei pomarańczowa 27×31 mm i 10+42 lei niebieska 36×28 mm) proporcjonalne ułożenie serji w albumie jest niemożliwością. Całość przedstawia się mimo to sympatycznie i barwnie.

Równocześnie z jubileuszową serją duńską, wydaną w 25-lecie panowania króla Chrystjana X, ukazało się także pamiątkowe wydanie dla Islandji. Dopiero teraz jednak dotarły te znaczki do nas i mało kto mógł je nabyć po przystępnej cenie. Cena w Michlu wynosi z miejsca 7,5 M., mimo nominalnej ceny 80 gr. Podajemy krótko: wartości 10, 30 i 40 ore, barwy zielona, bronzowa i karminowa, format 21×25 mm. Przypominamy, że pierwsza cyfra oznacza podstawę znaczka. Nie omieszkano przy sposobności wydać bloku, łączącego te trzy sztuki, lecz w zmienionych kolorach. Komu nie żal 25 złotych może jeszcze nabyć ów blok, który 4 miesiące temu kosztował netto 2 korony duńskie.



Pierwszy raz, odkąd sprzedaje się znaczki pocztowe w Polsce, byliśmy świadkami scen, jakie przypominały chyba tylko czasy wojenne, gdy ludzie dobijali się o to, by zdobyć kawałek chleba. Jeśli idzie o interes M. P. i T. nie można było wybrać lepszego czasu na wydanie bloków pamiątkowych. Zapowiedziana przed kwartałem „nieobowiązkowa“ subskrypcja dała nadspodziewany wynik, gdyż ilość zamówień przekroczyła rzechkrotnie wysokość nakładu, a więc do kasy M. P. i T. wpłynęło ponad 2 miljony złotych od filatelistów, przyczem trochę tylko spóźnione wpłaty były z miejsca zwracane. Trudno powtarzać za niektóremi dziennikami, że „komuś zależało“, aby nakład nie był powiększony, co jest w oczywistej sprzeczności z interesem skarbu państwa, a może przynieść tylko lichwiarski zysk handlarzom, którzy zawczasu postarali się o odpowiednio wysoki kontyngent. Zarzuty te wymagają jednak wyjaśnienia, a pewne trudności techniczne przy wykonaniu ząbkowanych „skrzynkowo“ bloków nie są wystarczającym argumentem.

KOMUNIKAT. Urząd pocztowy w Skolem zawiadamia nas, że „piękna pieczęć, przedstawiająca jelenia ryczącego — Poznaj letnisko Skole — będzie używana jeszcze tylko w bież. miesiącu“. Radzimy specjalistom zaopatrzyć się w ową pieczęć, ze swej jednak strony ciekawiłoby nas bardzej usłyszeć chociaż z płyty gramofonowej „jelenia ryczącego: poznaj letnisko....“.

ODPOWIEDŹ REDAKCJI. WPanu mgr. Bałowskiemu z Katowic dziękujemy za przesłane nowości i list z Wenecji, który niestety już w Krakowie na miejscu zdołał zaginąć! **W. H.**

Na lewo: W górnym szeregu trzy znaczki rumuńskie ze serji sportowej, przedstawiające rzut oszczepem, bieg narciarski i skok jeźdźca przez przeszkodę. W drugim rzędzie wyścigi wioślarskie, zawody piłki nożnej, oraz znaczek wydany w rocznicę założenia Małej Ententy. U dołu na lewo: Także sam znaczek Jugosławji, w środku król Karol rumuński jako myśliwy, oraz „koronacyjny“ znaczek kolonji angielskiej Aden i (na prawo) jubileuszowy islandzki.

DR. ALFRED BROSIG

POLSKA SZTUKA GOTYCKA



Matka Boska z grupy »Ukrzyżowanie« — początek XV w. (kościół parafjalny w Słupcy).



Święty Eustachy — figura późnogotycka (kościół w Krzywiniu, Wielkopolska).

Jakkolwiek osoba Wita Stwosza i nieśmiertelne jego dzieło, ołtarz Marjacki, w naszej literaturze naukowej już dawno znalazły miejsce odpowiadające znaczeniu tego genjusza, to jednak „kwestja narodowościowa“ Stwosza, rozdmuchana zupełnie niepotrzebnie do problemu o państwowem nieomal znaczeniu, ciążyła nad rezultatami badań w dziedzinie rzeźby gotyckiej, hamując raczej, niż przyśpieszając postęp naukowy. Zależnie bowiem od stanowiska zajmowanego w powyższej sprawie badacze ówcześni, albo łączyli bez wahania i inne zabytki snycerstwa gotyckiego z nazwiskiem Stwosza lub jego warsztatem, albo też uważali większą ich część za powstałą poza granicami kraju, za import z zachodu. Trzecia zaś grupa historyków sztuki, widząc stosunkowo niski poziom artystyczny (w porównaniu ze sztuką czeską, austrjacką, bawarską lub tyrolską) naszych zabytków plastyki gotyckiej, przytem elementy prymitywizmu w nich, zgóry zrezygnowała z ich inwentaryzacji i opracowania, przypisując im zato najwyżej taką samą wartość estetyczną, jak okazom sztuki ludowej.

Systematycznie przeprowadzona inwentaryzacja figur i ołtarzy gotyckich, znajdujących się na terenie Polski, byłaby już wtedy najskuteczniejszą metodą naukową, by kres położyć niefortunnej i zarazem nieproduktywnej polemice o „narodowości“ Wita Stwosza, jakoteż skorygować niezbyt jasne pojęcia co do charakteru polskiej sztuki gotyckiej.

Zinwentaryzowanie zabytków, jako zadanie naukowe o zasadniczem znaczeniu dla wszelkich zagadnień polskiej sztuki gotyckiej, przypadło w udziale młodszej, powojennej generacji historyków sztuki. Liczne publikacje i rozprawy, monograficznie lub w formie próby syntetycznej traktujące o zabytkach gotyckiego snycerstwa, przeważnie ukrytych dotąd i nierozpoznanych, oraz dwie wielkie wystawy sztuki gotyckiej, jedna urządzona w r. 1935 w Warszawie, w Instytucie Propagandy Sztuki, druga w r. 1936 w Muzeum Wielkopolskiem w Poznaniu, walnie przyczyniły się do rozszerzenia naszej wiedzy o sztuce gotyckiej na ziemiach Polski.

W świetle tych nowych zdobyczy naukowych obraz sztuki gotyckiej w Polsce przybrał wyraźniejsze kształty. Niestety znowu przedwcześnie, bo przed ostatecznem ujawnieniem całego skarbu porozrzucanych po kraju zabytków, nadano badaniom kierunek jednostronny i ciasny, wyrażający się w chęci uwydatniania w zabytkach snycerstwa gotyckiego pierwiastków czy to regjonalnych lub warsztatowo-lokalnych, czy to narodowych. Nie starano się patrzeć na całokształt sztuki gotyckiej, w której snycerstwo bynajmniej nie zajmuje miejsca pryncypalnego, i nie uwzględniono dostatecznie twórczych oddziaływań grafiki gotyckiej i malarstwa na snycerstwo. Widziane ze strony uniwersalizmu zjawisk artystycznych Europy środkowo-wschodniej, na tle którego wyrosła polska sztuka gotycka, nie przedstawia też polskie snycerstwo gotyckie „odmiany“ sztuki zachodu i nie posiada też żadnych lokalnych odcieni w sensie elementów twórczych, ani pod kątem widzenia ikonograficznem (tematowem), ani formalnem (kompozycyjnem).

Sztuka gotycka w Polsce rozwijała się na podłożu zupełnie tych samych założeń duchowych i społeczno-gospodarczych, jak w krajach z nią sąsiadujących (Czechy, Śląsk, Austrja) lub będących z nią w stałym kontakcie gospodarczo-handlowym (Niemcy Południowe). Ówczesna struktura naszych miast średniowiecznych, w których element napływowy, rzemieślniczy i kupiecki, zaj-

Dokończenie na str. 31-ej.



Powyżej: Głowa Matki Boskiej — fragment figury gotyckiej z pierwszej połowy XV wieku.



Poniżej: Święty Mikołaj — figura późno - gotycka (Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu.



Poniżej: Święty Jan Chrzciciel na puszczy — płaskorzeźba z r. 1499 z kościoła św. Krzyża w Wrocławiu (obecnie w kościele parafjalnym w Cieszynie, powiat Kępno).

OCZEKIWANIE

IRENA WIELGUSÓWNA **NOWELA**

Powstałeś z rozkoszy i cierpienia. Tak jak rodzi się grom z łona burzy wydarty. Więc musisz płonąć dopóki nie ogarnie cię ziemia.

Deszcz chlupotał w rynnach niskich, mocno w ziemię wrosłych kamienic, które gdzie niegdzie połyskiwały blado-żółtem światłem małych, jakby przymrużonych okien.

Duże, rozszalałą pasją zawieruchy o ziemię rzucane krople, rozpryskiwały się na płytach chodnika i mnóstwem splątanych strug płynęły poprzez wyboistą ulicę.

Kłębowisko chmur przewalało się po niebie. Blady, w mgłę omotany księżyc, przedzierał się przez tę czarną, skołtunioną masę i na krótką chwilę, czasami niewiele dłuższą od błysku źrenicy, zawieszał nad ziemią przerażoną twarz.

Zachodni wiatr wzmagał się ciągle. Dął, ile tylko sił starczyło w przeogromnych płucach morza.

Pilot Zięba wracał właśnie z lotniska. Udało mu się wylądować jeszcze przed burzą. Szedł szybko. Spieszył się. W uszach miał warkot motoru.

Mijał ciężkie, przysadziste, szparami ciasnych okien patrzące kamienice, czasem spojrzał w górę, ku szalejącej na niebie burzy.

Od jakiegoś czasu pilot Zięba nie czuł się zupełnie dobrze, choć właściwie nie był chory. Służbę pełnił tak, jak zawsze i sam zapewne nie umiałby określić, co mu dolega, tak samo, jak nie wiedział, skąd bierze się ów niepokój, który ostatniemi czasy prześladował go coraz częściej.

Było to nieustanne, czujne i niezwykle denerwujące oczekiwanie nieszczęścia, które nie wiadomo skąd miało spaść na niego.

Pilot Zięba wracał do domu.

— Dobrze, że udało się jednak wylądować, zanim zaczęło się to piekło!

Myśl ta przyniosła mu ulgę, ale tylko na chwilę. Bo przecież nie wiadomo jeszcze, co tymczasem mogło stać się w domu...

Przyspieszył kroku. Chwilami deszcz siekł mu prosto w oczy, gdyż wiatr rzucał się po ulicy, jak rozjuszony szaleniec.

Kiedy wreszcie znalazł się pod domem, przystanął i spojrzał w okna mieszkania. Świeci się tylko w jednem. W kuchni. Tak, jak zawsze, gdy wraca o tej porze. A zatem nie stało się chyba nic złego. Choć oczywiście nie jest to jeszcze całkiem pewne.

Szybko wbiegł na schody i cicho zastukał do drzwi. Żona otworzyła mu natychmiast i zaraz zajęła się rozdmuchiwaniem żaru, tlejącego jeszcze w piecu. Bał się na nią spojrzeć, by z jej twarzy nie wyczytać złych wieści. Wiedział, że nigdy nie zdradzała swych trosk, zanim nie zjadł kolacji. A zatem nic jeszcze pewnego...

Zięba zdjął przemoczony płaszcz i ciężko usiadł za stołem. Żona położyła przed nim nakrycie i zajęła się przyrządzaniem kolacji. Wydawało mu się, że trwa to strasznie długo.

— I cóż? — zaczął pierwszy, nie mogąc się doczekać zanim ona coś powie. — I cóż, czy niema żadnych nowin?

Mówił bardzo donośnie, nie słysząc własnego głosu, gdyż w uszach wciąż jeszcze tkwił mu warkot motoru.

Odwróciła ku niemu białą, okrągłą twarz, pełną pogody i zadowolenia, które promieniowało z każdego kąta, czystością jaśniejącej kuchni, jako najwidoczniejszego dowodu solidnie przepracowanego dnia, kończącego się pomyślnie. Była spokojna. Oczywiście nie miała pojęcia o jego utrapieniach.

Położyła palec na ustach a ręką wskazała drzwi, prowadzące do pokoju. Było to ostrzeżenie, by mówił ciszej, gdyż inaczej pobudzi śpiące dzieci.

Pilot Zięba nie miał już najmniejszych wątpliwości, lecz mimo to siedział przygnębiony i smutny. Gest żony rozdrażnił go, nie wiadomo dlaczego. Poczuł się dziwnie samotny w tym cichym, jasnym domu, tak dalekim od jego zgryzot i udręki. Wyglądało to tak, jakby żałował swych całodziennych utrapień, skoro przecież nie stało się nic złego. Wiedział, że myśl taka nie ma żadnego sensu i że wcale w ten sposób nie myśli.

Duży, kuchenny budzik tykał głośno i wskazywał dziesiątą. Pilot Zięba powoli odzyskiwał słuch. Wreszcie usłyszał tykanie i równocześnie przyplątała mu się skądś piosenka śpiewana kiedyś dawno.

Zjadł kolację, głowę oparł na rękach i wydawało mu się, że myśli. Ale było to tylko złudzenie. Na myśli nie było w tej chwili miejsca w jego znużonym, półsennym mózgu. Tylko w uszach snuły się melodje. Jedna budziła drugą, a każda miała inną, zupełnie co innego mówiącą twarz. Tak samo jak wtedy, gdy pilot Zięba był młody i swe tak ważne wtedy dla niego myśli przeplatał piosenkami.

Wtedy, gdy z pasją zaledwo czytać umiejącego laika, zapragnął wiedzieć wszystko, co kryło się między okładkami książek, poukładanych poza szybami wystaw.

Był wtedy pomocnikiem mechanika na lotnisku wojskowem i wszystkie wolne wieczory spędzał nad książkami. Dziwnie się wtedy rozrasiał świat przed jego oczyma. Zdobywał wiedzę. Uczył się tego, co ludzie nazywają myślą, pięknem i mądrością.

W owe długie, samotne wieczory, sam z sobą prowadził dyskusje pełne zapału, zrozumienia i krytycyzmu. Dziwił się ludzkim myślom i uczuciom, że mogą być tak głębokie i tak bardzo skomplikowane — a wierszom, że są tak nieprawdopodobnie piękne. I marzył o tem, że będzie jednym z tych, którzy odbudują świat.

Albowiem pilot Zięba urodził się po to, aby być mędrcem i poetą. A został tylko sierżantem.

Doszło do tego w sposób bardzo prosty, choć wcale nie oczekiwany. Wtedy właśnie, gdy młody pomocnik mechanika czuł się zupełnie zadowolony z tego, że jego skromne wynagrodzenie wystarcza na to, by żyć i wypożyczać książki i gdy jeszcze nie miał czasu, aby zapragnąć czegoś więcej.

Mieszkał na Starem Mieście — w oficynie. W tej samej kamienicy od frontu mieściła się skromna cukierenka. Tam właśnie pracowała jego żona. Była wtedy bardzo młoda i miała drobną białą twarz, która dziwnie odbijała od jej czarnych, gładko zaczesanych włosów. Często stała w drzwiach cukierenki i pilot Zięba, przechodząc, patrzył na nią niebieskiemi oczyma z pod lekko nabrzmiałych powiek i dziwił się, że jest tak bardzo ładna. Poznali się któregoś dnia.

Zięba został pilotem — z biegiem czasu zaś dosłużył się rangi sierżanta. Zamieszkali w małem, kresowem miasteczku.

— Pójdź spać — powiedziała żona — późno już, musisz wypocząć. Jutro masz znowu nocny lot.

— Dobrze — odpowiedział. Czuł się już znacznie lepiej.

Ostrożnie wszedł do jadalni, gdzie na kanapie spał najstarszy, dwunastletni Olek. Dwaj młodsi spali w drugim pokoju, na jednem z dwóch szerokich łóżek, mocno przytuleni do siebie. Nikła, nocna lampka majaczyła w kącie.

Ona pochyliła się nad dziećmi, rozplotła ich drobne ramiona, któremi nawet przez sen objęli się mocno i najmłodszego Tadzika przeniosła do małego, siatką ochronionego łóżeczka.

— Śpij, synku — powiedziała miękko.

Pilot Zięba rozebrał się szybko i ułożył do snu. Przytulił policzek do chłodnej poduszki i czas jakiś słuchał melodyj, które za oknem wygrywał wiatr. Krople deszczu monotonnie dzwoniły w szyby, wystukując szklany, bezbolesny płacz.

Lecz zwolna ucichało się wszystko. Wiatr omdlał. Jednostajne brzęczenie stawało się coraz lżejsze i coraz bardziej dalekie.

Zięba zasypiał.

— Przeżegnałeś się? — zapytała żona.

Ostatnim wysiłkiem świadomości usiłował podnieść rękę do czoła, lecz w tej właśnie chwili zasnął.

* * *

Wiosna w tym roku była wczesna, lecz niezwykle burzliwa. Po słonecznych, upalnych niemal porankach, nadchodziły czarne od chmur popołudnia, popękane rysami błyskawic, ogłuchłe od grzmotów.

Pilot Zięba wciąż jeszcze oczekiwał nieszczęścia. Wychodząc z domu myślał o tem, że już do niego nie wróci.

W jedną z niewielu cichych, wiosennych nocy, szybował wysoko nad ziemią i patrzał w gwiazdy, które skrzyły się jasno. Motor warczał równo, monotonnie. Samolot posuwał się naprzód, lekko i bez trudu.

Powietrze zakrzepło w bezruchu, jakby odpoczywało.

Pilot Zięba patrzył w gwiazdy. Znał niemal wszystkie ich imiona i bez trudu mógł wymienić cyfry, któremi określano ich odległość od ziemi.

Umiejętność tę zawdzięczał owym latom, kiedy to chciał wiedzieć tak wiele i gdy myślom swym wyznaczał bardzo daleki lot.

Lecz teraz nie to było ważne. W tej chwili pilot Zięba czuł najwyraźniej, że pragnie jednej jedynej rzeczy na świecie: Spokoju.

Wylądował, gdy gwiazdy pobladły.

Miasteczko jeszcze spało. Chłodna cisza wiosennego przedświtu przepojona była świeżością. Z południa, od strony Niemna, nadciągały zwiewne, srebrno-szare mgły.

Pilot Zięba wracał do domu. Duszę miał pełną dziwnego, mnóstwem melodyj grającego ukołysania, które szło ku niemu skądś zdala od pól szerokich, opadało z błękitów coraz więcej rozjaśniającego się nieba.

Tu i ówdzie z cichym trzaskiem otwierało się ciasne, mgłą jeszcze zmatowiałe okienko, lub z komina wyrastało smukłe, prosto w niebo zmierzające pasmo szarego dymu.

Na rynnie nisko nad ziemią zawieszonego dachu siedział wróbel i ćwierkał żarliwie, ze wszystkich sił.

Gdy wreszcie znalazł się w domu i usiadł za stołem, poczuł odrazu, że czar prysnął. Nagła fala gryzącej goryczy zalała mu usta.

Gwałtownie, z pośpiechem, jak człowiek, któremu już od długiego czasu dzieje się wielka, niepojęta krzywda, wyrzucał z siebie słowa, pełne skargi i niepokoju.

Żona z lękiem spojrzała na niego.

— Musisz wyjechać gdzieś i odpocząć — powiedziała odrazu.

Pilot Zięba zdziwił się. Rozwiązanie wydało mu się zbyt proste, aby mogło być skuteczne.

— Dobrze — odpowiedział jednak po chwili namysłu.

— — — — — — — — — —

Szło się w górę po stromych schodkach, wykładanych zwykłemi, polnemi kamieniami.

Na samym szczycie stał dom, z wyraźnie wypisaną i zbyt wiele mówiącą nazwą: „Raj". Tuż poza jego plecami rósł gęsty, sosnowy las.

Zięba budził się wcześnie. Stawał w otwartem oknie, oczekując świtu i słuchał, jak w dole szumi czysty, szybko mknący strumyk.

Rada żony okazała się dobra. Pułkowy lekarz stwierdził silny rozstrój nerwowy i początki tarczycy. Przepisał leczenie i zalecił wyjazd.

Pilot Zięba zamieszkał w „Raju" i z każdym dniem nabierał przekonania, że trudno byłoby znaleźć zakątek bardziej łaskawy dla jego utrudzonych nerwów. Słoneczne, żywicą przepojone dni szły naprzód cicho i spokojnie. Złe myśli prysły. Ich miejsce zaś zajmowały inne. Nowe, i jak gdyby odświętne. Równocześnie zaś zaczęło kiełkować mgliste, w żadną konkretną formę nie ujęte uczucie, łagodnej tęsknoty za czemś, co jest blisko, choć niema jeszcze nazwy.

Pilot Zięba wiedział, gdzie szukać źródeł tęsknoty i nie dziwił się, że przyszła do niego teraz właśnie.

Widział ją wszędzie.

Szeptała mu strumieniem i senną pieszczotą klonowych liści. Patrzała nań krociem dalekich, nazwanych i nie nazwanych gwiazd.

Lecz wierzył. Wierzył, że przyjdzie to, na co czeka.

— — — — — — — — — —

W pewnej chwili przerwał zaczęte właśnie zdanie i czas jakiś nadsłuchiwał. Gdzieś niedaleko pluskała płynąca woda.

— Słyszysz? — zapytał i nie wiadomo dlaczego zniżył głos do szeptu.

Leżał na wznak w puszystym, ciemno-zielonym mchu i patrzył, jak na złocisto-bronzowej korze sosny krzepną lśniące, żywiczne krople.

— Słyszę — odpowiedziała dziewczyna.

— Co myślisz? — zapytała ona zkolei, po długiej, sennej chwili milczenia.

Uśmiechnął się tylko, gdyż nie mógł odpowiedzieć. Myślał o niej właśnie. — Ty nie wiesz, czem jesteś dla mnie, mała, obca dziewczynko — powtarzał szeptem, który nie docierał warg. — I nie tylko dlatego, że masz białe dłonie i drobne usta, któremi tak ładnie umiesz się uśmiechać. Jak dobrze, że rozumiesz wszystko, o czem mówię do ciebie i nigdy nie dziwisz się niczemu. Dla ciebie wszystko jest jasne. Dlatego musisz być chyba bardzo szczęśliwa. Mówisz rzeczy ciekawe i ważne, które brzmią tak, jak gdyby myśli twoje nigdy nie były utrudzone i nigdy nie znały przeszkód.

Aż dziw, że jesteś taka.

Budzisz we mnie słowa, zapomniane już dawno. Słowa, które w wiosnę mego życia zbierałem, niby kwiaty, z wielu ksiąg.

Wszystkie one zbiegły się w tobie.

Wiem, że na ciebie właśnie czekałem i wiem dlaczego. Bo przez ciebie odżyła we mnie moja młodość.

Czuję się przy tobie tak samo, jak wtedy, gdy będąc dzieckiem, w pewną słoneczną, niedzielną godzinę uprzytomniłem sobie na chwilę, że dzień świąteczny, to ważna i piękna rzecz.

— Powiedz — co myślisz? — upierała się dziewczyna.

— Myślę o synku, który nazywa się Tadzik. Ma dopiero cztery lata. Jest najmłodszy.

— Tęsknota?

— Nie. Poprostu kocham go najwięcej ze wszystkich.

Chciałbym wiedzieć, jak całujesz — powiedział nagle, jak gdyby dopiero teraz przypomniał sobie to, co już dawno powinno być powiedziane.

Dziewczyna zaśmiała się cicho i białe, chłodne dłonie położyła mu na oczach.

— Słyszysz? — zapytała stłumionym, zadyszanym szeptem.

Z głębi lasu wciąż dobiegał monotonny plusk wody.

Powoli zapadał mrok.

— Nie będziesz umiał o mnie zapomnieć, choć teraz nie wierzysz w to jeszcze. Ale to jest prawda. Gdy spadnie na ciebie coś, co cię zasmuci, będziesz wiedział, że jestem przy tobie.

Wracali do domu. Na niebie powoli zapalały się gwiazdy.

Pilot Zięba nie wierzył w to, co mówiła. Gdyż miał powrócić tam, gdzie nie było smutku, o jakim w majowy wieczór mogła myśleć młoda dziewczyna. Wracał tam, gdzie go czekał dom i obowiązek. Gdzie nie było miejsca dla jej białych, miękkich dłoni i jej jasnego uśmiechu.

Wiedział, że wszystko to pozostawi za sobą.

Dlatego nie odrzekł nic.

— — — — — — — — — —

— Tak, synku i ty zostaniesz lotnikiem. Wyrosną ci skrzydła ogromne, błyszczące. Rozprężysz je mocą twoich młodych ramion i polecisz daleko, bardzo daleko. Zaniosą cię wysoko ku słońcu.

— I będziesz szczęśliwy.

— A jeśli kiedy nocą jesienną niebo nad tobą zapłacze i smutku melodję zanuci, potrafisz wznieść się nad chmury i gwiazdom łzy poocierać.

— Tak, synku i ty zostaniesz lotnikiem.

Dziecko zasnęło.

Pilot Zięba podniósł się cicho i wyszedł z pokoju.

Dzisiaj miał znowu nocny lot.

— Wychodzisz już? — zapytała żona.

— Już czas!

Odkąd powrócił z urlopu, czuł się zupeł nie dobrze. Pracował tak, jak nigdy dotąd, jak gdyby chciał odrobić stracony czas. — A przytem za nocną służbę płacono osobno. Pieniędzy zaś wciąż było zamało. Mówiły mu o tem codzień spracowane ręce żony i wytarte, starannie cerowane ubranka synów.

Tymczasem nadeszła jesień. Szklany, skrami pryskający szron osypał bielą szeroko rozwarte ramiona ostępów leśnych, między któremi powoli zasypiało miasteczko. Zeschłe liście opadały i lgnęły do zamierającej ziemi, niby krwawy, smutkiem szeleszczący całun.

Dochodziła dziewiąta, gdy pilot Zięba znalazł się na lotnisku.

Wieczór był mroczny i zimny. Tak samo zapowiadała się noc.

Przed hangarem w szerokiej smudze reflektora lśnił kadłub płatowca. Lotnik wsiadł. Jednem pociągnięciem steru wzbił się wysoko. Ogarnęła go ciemność. Nie widział nic przed sobą ani dokoła. Nic, tylko czarny bezgraniczny ocean nocy. Leciał na południe. Poza nim, na samem dnie głębiny pozostawały dygocące, coraz to mniejsze krążki latarń hangaru.

Motor terkotał równomiernie.

Przestrzeń wciąż uciekała wtył szybko, niby w popłochu.

Nagle rytm silnika zaczął się rwać. Motor zacharczał raz i drugi, jak gdyby się dławił.

Jednocześnie z pod maski zaczęły się wydobywać kłęby gryzącego dymu. Pilot Zięba pociągnął za kurek gaśnicy. Kurek nie działał. W tym samym niemal momencie rozległ się trzask i jasny słup ognia wdarł się na skrzydła samolotu. Drugi słabszy i jakby przyczajony, wychylił się z pod nóg pilota.

Pilot Zięba pospiesznie odpiął pasy i skoczył.

Pęd oszołomił go. Spadał szybko, całym ciężarem bezwładu. Nie zdawał sobie sprawy z pozycji, w jakiej się znajduje. Nie miał czasu na żadną myśl.

Oślepiająca błyskawica nagłego oprzytomnienia szarpnęła ręką lotnika. Sztywne palce zacisnęły się kurczowo koło rączki spadochronu. Jeden krótki, zdecydowany ruch i ciało spadającego nagłym podrywem zatrzymało się w locie i kilkakrotnie zatoczyło szeroki łuk.

Nos zasnuła mu myśli.

— — — — — — — — — — — —

Szum deszczu szedł lasem od drzewa do drzewa. Zachrypły od krzyku kruk siedział na szczycie sosny i krakał.

Pilot Zięba ocknął się. Było mu zimno.

Rozejrzał się wokoło, szukając schronienia.

Z szarego nieba, przez brudne płachty chmur, wciąż przeciekał ciężki, jednostajny deszcz.

Lotnik wstał z trudem i powlókł się w kierunku, gdzie las był rzadszy, jakby wyłysiały. Szedł chwiejnie, opierając się o drzewa.

Pilot Zięba przyspieszył kroku i naprzełaj, polami, poprzez czarne, rozmiękłe za·

Dokończenie na str. 12-tej

ZWĄTPIENIE



Dokończenie z str. 10-tej.

gony poszedł ku chacie, która stała najbliżej. Ciężkie, jednoskrzydłe drzwi były uchylone i pod lekkiem dotknięciem ręki rozwarły się szeroko. Wtedy lotnik znalazł się w jakiejś izbie, gdzie na kominie palił się ogień. Ktoś stał przy piecu i dokładał drzew. Ktoś siedział na ławie pod oknem.

Zięba drżał z zimna. Zęby rzegotały mu bez przerwy, gdy usiłował wytłumaczyć kim jest i co się stało.

Jakaś dłoń ujęła go za ramię i posadziła za stołem. Ta sama zapewne dłoń postawiła przed nim za chwilę kubek dymiącego mleka. Lotnik pił powoli, z wysiłkiem i czuł, że zasypia. Raz i drugi podniósł ciężkie, bezsilne powieki. Widział, jak kobieta wyszła do drugiej izby i jak z niej po krótkiej chwili powróciła.

— Pójdziecie spać, panie? — zapytał potem męski, skrzypiący głos.

Zięba skinął głową potakująco.

O jakiejś godzinie bezbarwnego dnia obudził się. Dręczyło go pragnienie.

Na krześle obok łóżka stał kubek zimnego mleka.

W śnie przyplątało się skądś widziadło dziwne, niepokojące. Z jakiegoś punktu, zawieszonego wysoko pod powiekami, zaczął się zsuwać maleńki świecący krążek, który zniżał się szybko, rósł i płonął coraz jaśniej. Równocześnie w piersiach pilota rozrastał się straszny, palący ból, który obejmował czaszkę i szarpał mózg szponami upiornych, zakrzywionych palców. Widmo lęku wżerało się w szalone, galopujące serce.

Mrok. Już niema nic. Miękkie, chłodne dłonie zgasiły wszystko. Leżą na oczach tak kie dobre, mądre, kojące.

Coś szumi. Nie wiadomo, czy to są słowa, czy może woda. Cicho, łagodnie.

— — — — — — — — — — —

— Przeżegnałeś się? — jak zawsze przed zaśnięciem — zapytała żona.

— Tak. A nawet odmówiłem modlitwę. Jestem dzisiaj mniej śpiący, niż zwykle.

Przez dłuższą chwilę nie mógł zasnąć. — I zapewne dlatego myślał o tem, że jednak to wydarzenie nie było wielkie, ani ważne, skoro tak łatwo skryło się pod warstwą wciąż narastających dni, które przecież nie powinny mieć żadnego znaczenia. Gdyż tylko dlatego i po to szły naprzód, by się powtarzać według ustalonych form i zakreślonych granic.

Był pewien, że jeszcze nie zdołał zasnąć, gdy nagle ktoś szarpnął go za ramię. Przerażona twarz żony pochyliła się nad nim.

— Tadzik! — powiedziała zachrypłym głosem. — Tadzik chory! Idę po lekarza.

Narzuciła płaszcz i wybiegła z pokoju, nim zdołał pojąć, o co chodzi.

Tadzik był nieprzytomny. Twarz miał sinią, wykrzywioną bolesnym skurczem, a na ustach pianę. Gwałtowne drżenie rzucało jego drobnem, bezbronnem ciałem.

Lotnik ujął kurczowo zaciśnięte rączki syna i trzymał je mocno w swych dłoniach.

— To niemożliwe — szeptał nieprzytomnie. — To przecież niemożliwe...

Kiedy żona wróciła z lekarzem, pomoc nie była już potrzebna. Atak minął. Tadzik spał cicho i spokojnie.

— Już dobrze — powiedziała żona — możesz się położyć i spać spokojnie.

Usłuchał bezwiednie. Lecz sina, bólem skurczona twarz synka wciąż tkwiła mu przed oczyma.

Niespokojne, rozbiegane myśli tłukły się w mózgu lotnika.

I wtedy przyszło nań widzenie, zaznane już kiedyś, w gorączce, tylko jaśniejsze i bardziej bliskie, niż wtedy.

Miękkie, chłodne dłonie przylgnęły do oczu i zasłoniły złe myśli. Cichy, kojący szept mówił mu słowa pociechy i uspokojenia. Była w nich pewność i siła.

Więc pilot Zięba wierzył we wszystko, co mówiła dziewczyna, choć nie pamiętał już, czy kiedykolwiek była jawą.

I wtedy, w tę najsmutniejszą ze wszystkich swoich nocy, kiedy w sinej, bólem targanej twarzy syna zobaczył krzywdę niepojętą i niczem nieusprawiedliwioną, wtedy zrozumiał rzecz ważną.

Że jego niespokojne, pełne złych przeczuć oczekiwanie, będzie równocześnie wyzwaniem cierpienia, które teraz już nie może być straszne, choć wzbogaci się o nowy, mocny ton.

— Ty nie wiesz, czem jesteś dla mnie, mała obca dziewczynko — myślał pilot Zięba, zasypiając — i jak wielka jest moja za tobą tęsknota. Oczekuję bólu, gdyż wiem, że tylko wtedy przyjdziesz do mnie, aby dać rozkosz i ukojenie.

Podstęp

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI

NOWELKA

John Smith — jeden z współwłaścicieli wielkiej wytwórni sensacyj filmowych „Sensation Pictures Ltd." — zacierał ręce z zadowolenia, szczęśliwy był też słynny reżyser, „twórca gwiazd" Streuback, zadowoleni byli operatorzy, nawet maszyniści pogwizdywali radośnie. — Dziś ostatni dzień nakręcania wielkiego filmu „dzikich preryj", ostatni dzień prażenia się w słońcu meksykańskich stepów. Nigdy chyba bardziej gorączkowo nie pracowali członkowie wypraw „Sensation Filmu Ltd." — jak podczas tych trzech tygodni nakręcania filmu „Pirat Stepów". Męczący był nie tylko pośpiech, ale i warunki pracy. Cała wyprawa osłonięta była głęboką tajemnicą, udział w niej brali tylko starzy, zaufani pracownicy wytwórni. Kręcono w ogromnym pośpiechu na najbardziej bezludnym i niewygodnym skrawku stepu, oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów od najbliższej siedziby ludzkiej — małej mieściny Puto. Ale nikt nie żałował tego szaleńczego tempa wysiłków, bo „Pirat Stepów" będzie największą sensacją XX w. W głównej roli bowiem występował nie kto inny, jak sam Pedro Mareyo we własnej osobie. Pedro Mareyo, postrach całej połaci kraju, morderca wielu policjantów, nieuchwytny, genjalny bandyta, którego banda wyrządziła więcej szkód, niż naloty szarańczy, za którego głowę naznaczono nagrodę 50 tysięcy dolarów.

Po długich pertraktacjach, prowadzonych w tajemnicy przed policją i wszędobylskimi dziennikarzami, zdołał J. Smith zaangażować Pedra Mareyo do swego filmu za cenę 500 tysięcy dolarów! Tak! pół miljona dolarów (z czego połowa płatna zgóry!!), dostał bandyta za to, że w „Piracie Stepów" grał główną rolę — rolę Pedra Mareyo! Trzeba przyznać, że wart był tej ceny. Grał z taką ekspresją, z taką odwagą wykonywał najniebezpieczniejsze ewolucje konne, których wymagał scenarjusz, że nawet, przyzwyczajonym do tego rodzaju wyczynów członkom wyprawy „Sensation Pictures Ltd.", niejednokrotnie wyrywały się okrzyki podziwu.

Dziś właśnie mają nagrywać ostatnią scenę, scenę kulminacyjną! Na śpiącego Pedra napadnie oddział policji konnej (50 statystów — oryginalnych cowboyów), już będą zakładać kajdanki na ręce, kiedy Mareyo nadludzkim wysiłkiem wyrwie się, dopadnie swego konia (sławnego Ric-Raca) i ucieknie, mimo strzałów, sypiących się jak grad.

Wszystko już gotowe do kręcenia! Maszyniści, operatorzy, reżyser z megafonem, J. Smith z nieodłącznym cygarem w ustach, śpiący Pedro... wszyscy czekają na atak policji, która ma ukazać się z za wzgórza. Są! Pędzą! Konie w rozszalałym galopie zbliżają się, jak burza! Pedro budzi się, zrywa... ale już go otacza konny tłum, błyskają kajdanki... Pedro gotuje się do kulminacyjnego skoku .. Lecz co to? czy skok się nie udał? Kajdanki obejmują stalowemi chwytami dłonie bandyty. Nie pomagają szarpania — tłum policjantów się nie rozstępuje.

— Puścić go!! — wrzeszczy przez megafon reżyser! Operatorzy przestają kręcić... Maszyniści opuszczają stanowiska...

Statyści biegają nieprzytomnie... powstaje niebywałe zamieszanie!

Jeden tylko J. Smith jest spokojny... Z uśmiechem podchodzi do reżysera:

— Tę scenę nakręcimy z dublerem, przyda się przecież 50,000 dolarów, nałożonych na głowę Mareya a i zdjęcia do tygodnika aktualności z schwytania bandyty, nie będą najgorsze.... No, niech mi pan nie robi głupiej miny, Streuback, musi pan przyznać, że stary J. Smith ma głowę do interesów... Czy nie zauważył pan, że ci policjanci to nie nasi poczciwi statyści, tylko prawdziwi obrońcy prawa z miasteczka Puto? Niech pan się nie boi, nie puszczą go, zanadto dał się im we znaki podczas napadów na ich mieścinę... O, właśnie idzie w naszą stronę dowódca oddziału.

Dowódca nie szedł, ale biegł wzburzony w stronę spokojnego J. Smitha.

— Mister Smith — krzyczy z daleka — pan sobie z nas zakpił! Gdzie jest Pedro Mareyo?!

— Jakto gdzie? — pyta, zamiast odpowiedzi, ciągle jeszcze flegmatyczny J. Smith.

— Ten człowiek, którego moi ludzie związali, nie jest wcale Pedrem, jest zaledwie do niego nieco podobny!

Teraz J. Smith jest wzburzony, wściekły:

— Panie! — wrzeszczy. — Czy pan zwarjował!?

— Jestem przy najzdrowszych zmysłach — pada odpowiedź. — Widziałem Mareya niejednokrotnie, nawet zbliska, podczas jego zuchwałych napadów i poznałbym tego djabła na końcu świata!

J. Smith jest zdruzgotany! Przepadły jego wspaniałe plany trzykrotnej sensacji, trzykrotnego zysku! Film, nagroda za złapanie bandyty, najsensacyjniejsze zdjęcia aktualności rozwiewają się, a wraz z niemi i długie ogonki zer na pięknie kolorowych czekach znikają bezpowrotnie...

Ale może jednak ten oficerzyna się myli.

— Przyprowadzić tego nędznika — rozkazuje maszynistom.

Po chwili przed J. Smithem staje fałszywy „Pirat Stepów" ze zwykłym chytrym uśmieszkiem, przylepionym do twarzy.

— Ty nie jesteś Pedrem Mareyą? — krzyczy J. Smith.

— Nie, panie, ale mam polecenie od Mareyi dla pana. Pedro kazał się pięknie kłaniać i przeprosić, że mimo wszysko, nie mógł sam przybyć na zdjęcia, nie chciał jednak opuścić okazji do trzykrotnego zysku, który się, dzięki panu, nastręczył. — Pierwszy to 250 tysięcy dolarów, zapłacone zgóry, drugi to zaszczytna reklama dla jego skromnej osoby, a trzeci — mienie mieszkańców Puto, które właśnie teraz grabi, korzystając z nieobecności policji.

WYWIAD Z ROBERTEM TAYLOREM

Sława aktorska i rozgłos nie liczą się z wiekiem. Obdarzają swemi promieniami wybrańców fortuny z opaską na oczach. Dlaczego właśnie ten? Bo tak się spodobało kapryśnej pani, która nie lubi się tłumaczyć ze swych postępków.

W tej chwili przebywa w Europie najpopularniejszy Don Juan ekranu, spadkobierca sławy, jeśli wolno się tak wyrazić — Rudolfa Valentino. Tak przynajmniej twierdzą piękne panie, a one mogą coś o tem powiedzieć — są w tym względzie naprawdę kompetentne.

Robert Taylor objeżdża zachód Europy. Po przybyciu do nowego miasta przyjmuje przedstawicieli prasy, informując o wszystkiem, co ich interesuje. Wzamian za to nie udziela indywidualnych wywiadów. Ta zbiorowa „audjencja" musi wystarczyć entuzjastom filmu.

Taylor, zwany przez swych przyjaciół Bobem, przyjął nas uprzejmie. Wysoki, barczysty o niebieskich oczach i pogodnem spojrzeniu wyglądał zupełnie tak, jak na ekranie.

Tyle krąży o nim opowiadań, ploteczek, niepokojących zwłaszcza płeć piękną — a chcieliśmy zaspokoić jej ciekawość — że doprawdy sami nie wiemy, od czego zacząć?

— Czemu przypisuje pan swe powodzenie na ekranie?

Za całą odpowiedź Taylor pokazuje nam dobrze podniszczony kapelusz. Temu „fetyszowi" zawdzięcza Bob swe sukcesy...

— Przed dwoma laty miałem go na głowie, gdy zostałem zaangażowany przez „Metro-Goldwyn". Podczas nakręcania pierwszego filmu służył mi nadal wiernie. Miałem go także na sobie, gdy zapytano mię, czy chciałbym być partnerem Grety Garbo.



Heather Angel, pierwsza sympatja Taylora.



Na prawo w kole: Barbara Stanwyck.

Kapelusz — to symbol szczęśliwej „konjunktury". Pragnęlibyśmy jednak dowiedzieć się czegoś więcej. Ale Taylor powraca do poprzedniego.

— Powodzenie moje zawdzięczam wyłącznie jednej rzeczy: szczęściu. Gdyby przed pięciu laty ktoś mi powiedział, że zrobię podobną karjerę — nigdybym w to nie uwierzył!

Trzeba mieć istotnie szczęście, ażeby licząc zaledwie lat 26, zdobyć taką popularność.

— Proszę sobie wyobrazić, że pochodzę ze stanu Nebraska, jednego z najbardziej prymitywnych w Stanach Zjednoczonych. Gdy znajduję się wśród publiczności, oglądającej mnie jakby jakieś dziwo — przypominam sobie „Powrót Tarzana". Jestem właśnie takim Tarzanem, któremu się wszyscy przyglądają. Gdy wyjeżdżałem ostatnio z Nowego Jorku, policja z trudem torowała mi drogę na okręt, wyrywając mnie poprostu z rąk entuzjastycznych, a gwałtownych wielbicielek, z których każda chciała zatrzymać na pamiątkę przynajmniej guzik od mej marynarki.

— Czy to prawda, że dwie młode wielbicielki zakradły się do pańskiej kajuty, czekając na okazję obejrzenia pana z bliska?

Taylor wybucha śmiechem.

— Gdy mi o tem powiedziano, sądziłem, że to jakiś trick reklamowy. Później okazało się, że były to zdecydowane zbieraczki autografów: po otrzymaniu mego podpisu dały się odprowadzić na ląd, a ja mogłem kontynuować podróż do Europy.

— Czy nie cieszą pana hołdy pańskich wielbicielek?

— Cieszą, ale i męczą zarazem. Proszę sobie wyobrazić, iż nie mogę zjeść obiadu w restauracji, aby nie asystowało przytem kilkadziesiąt osób, obserwujących wszystkie moje ruchy. To samo na dancingu. Gdy tańczę, wszyscy zatrzymują się i obserwują, jak gdybym był Fredem Astairem. Początkowo bawi to, lecz zczasem staje się nużące. Teraz mogę przyjmować zaproszenia jedynie na przyjęcia prywatne.

Robert Taylor, którego prawdziwe nazwisko brzmi Spaandler Arlengton, zapowiada, że będzie podróżować przez kilka tygodni po Europie, poczem uda się zpowrotem do Hollywood. Tam czekają na niego nowe role i... Barbara Stanwyck.

Barbara Stanwyck stanowi osoby rozdział w życiu Boba.

— Czy kocha pan Barbarę Stanwyck — zapytuje któryś z bardziej natarczywych moich kolegów.

— No, nareszcie, doczekałem się tego pytania! — odpowiada z uśmiechem Taylor. Otóż muszę oświadczyć, że mam dla niej wiele przyjaźni i sympatji. Barbara jest moją najlepszą koleżanką, podobnie, jak Clark Gable — kolegą. Nic bardziej mnie nie bawi od czytania dzienników, opisujących najszczegółowiej, co powinna posiadać kobieta, abym się w niej zakochał.

Do chwili obecnej nie zaznałem prawdziwej miłości. Zaczynam się nawet obawiać, czy ją kiedykolwiek znajdę. Mam lat 26 — staję się powoli starym kawalerem. Swoją drogą nie bardzo się tem przejmuję. Być może, że odkryję wkońcu to szczęście, które przecież każdy przeciętny człowiek może spotkać w życiu.

Czy jednak w istocie Robert Taylor nikogo nie kochał? Przyjaciele Boba są innego zdania. Przed czterema laty, gdy Taylor rozpoczynał swą karjerę filmową, a raczej starał się o zaangażowanie go do filmów, spokał on młodą aktorkę z „Fox Pictures", nazwiskiem Heather Angel. Taylor zarabiał wówczas 10 dolarów tygodniowo i dlatego też nietylko o wzajemności, lecz nawet o zbliżeniu się do niej, nie mogło być mowy. Przed trzema laty uśmiechnęło się jednak do Taylora szczęście, choć nikt wówczas jeszcze nie przypuszczał, że zrobi on podobną karjerę. Heather Angel zwróciła uwagę na Taylora, lecz starsza nieco od niego, uważała go za smarkacza. Taylor liczył wtedy 23 rok życia. Przed dwoma laty został on partnerem Barbary Stanwyck. Heather Angel poszła momentalnie w zapomnienie i nikt w to nie wątpi, iż piękna Barbara zajęła jej miejsce w sercu Taylora.

Hajot.

Na prawo: Taylor w atelier fotograficznem wytwórni Metro (na ścianie portret Grety Garbo).



JESIENNE CIĄGI







Powyżej: W drodze na Południe...

Przeglądając prasę codzienną i perjodyki w ostatnich tygodniach wiosny i na początku lata, znajdziemy mnóstwo mniej lub więcej celowych i pożytecznych wskazówek dla wyjeżdżających na wywczasy letnie. Zwłaszcza ubiegły sezon na przełomie wiosny i lata obfitował w powódź rozmaitych „przykazań" ze względu na uroczystości koronacyjne w Londynie i na wystawę paryską. Jeżeli pismo nasze teraz dopiero występuje z rozmaitemi wskazaniami dla wycieczkowiczów, to ma to swój określony cel. Wystawa paryska jest teraz skompletowana i prawdziwie atrakcyjna, a nie zapominajmy i o tem, że high-life wyjeżdża na wywczasy przeważnie jesienią bądź to na Południe na kuracje owocowe bądź też do Paryża, który w okresie letniej kanikuły jest nieznośny, zaś wczesną wiosną i jesienią posiada nieodparty urok. Rutynowani globtrotterzy wiedzą o tem i korzystają z urlopów wypoczynkowych w miesiącach jesiennych.

Posłuchajmy, co mówi o podróżach znany literat Wiktor Wittner. Autor ten traktuje swoje przykazania dla wyjeżdżających w jesieni z oryginalnego punktu widzenia, jak gdyby chcąc już zgóry wprawić czytelnika w dobry humor podczas podróży.



Fragment Akropolu.





Na prawo: Postój w porcie Pireus.

Start

Opuszczamy miasto, w którem stale mieszkamy dopiero wówczas, gdy stwierdzimy, że czujemy się w niem fatalnie. Najlepiej wyjechać w chwilę po odebraniu należytości od dłużnika, ale koniecznie przed uiszczeniem własnego długu.

Ale dokąd?

Porozmawiajmy z przyjaciółmi na temat wyboru miejscowości, najstosowniejszej na spędzenie urlopu. Wybierzmy taką miejscowość, której nie wymienił żaden z naszych przyjaciół. Przynajmniej będziemy pewni, że ich tam nie spotkamy. Jeżeli ktoś nie może się zdecydować, czy wyjechać w góry, czy nad morze — niechaj wybierze „złoty środeczek", to jest jezioro w górach.

I z kim?

Przedewszystkiem — ze sobą samym. Nie wolno wyjechać, pozostawiwszy w domu siebie samego, tj. myśli, uwikłane w codzienne troski, w rozmowy z naszymi znajomymi, w interesy. Oderwijmy się od tego błędnego koła. Koniec kropka i basta! Opuszczamy domowe pielesze z czołem gładkiem, mózgiem wolnym od niepokojących myśli, gotowym do wchłaniania nowych wrażeń, nowego otoczenia. Takie czoło możemy stawić śmiało temu, co nas spotka w podróży.

Z kobietą?

Owszem, ale tylko taka, którą poznaliśmy na 12 godzin przed odejściem pociągu czy startem samochodu. Musi nam jednak odpowiadać, zaciekawiać i mieć wszelkie dane, że nas nie rozczaruje. Jeżeli taką kobietę znajdziemy, odbywamy równocześnie dwie podróże: w nowe okolice i w głąb nowej indywidualności. Przyjmujemy wrażenia wspólnie, reagujemy na nie jednocześnie, przywiązujemy się do towarzyszki podróży, bo przedstawia się nam z najlepszej strony, powodowana własnym interesem. Nie powinna jednak być milcząca, ani światowo zblazowana, dla której glob ziemski nie przedstawia niczego nowego. Musimy wybrać taką kobietę jako towarzyszkę podróży, która podróżowała mało, zaledwie poza obręb swojego rodzinnego miasta, i dlatego pozostaje się dla niej zawsze interesującym i temsamem coraz bardziej pożądania godnym. Niech ta kobieta będzie zdolna nietylko do pocałunków, ale także do zachwytów, nietylko do wybuchów namiętności, ale i do wybuchów radości. Towarzysz

podróży jest wówczas bogatym kochankiem, który szczodrą dłonią darowuje jej góry i doliny, morza i jeziora.

A więc może z żoną?

Tylko pod tym warunkiem, jeżeli da się przekształcić bezpośrednio przed podróżą w kobietę, posiadającą wszystkie warunki na kochankę. W przeciwnym razie lepiej żonę zostawić w domu. Powraca się do niej jako stęskniony kochanek, zwłaszcza, jeżeli jedzie się wogóle bez towarzystwa kobiecego. Rozkoszny jest powrót takiego brunatnego Otella, opalonego słońcem Włoch, Grecji czy Marokka do stęsknionej żony. Im dalej się wyjeżdża, tem lepiej, bo jak wiadomo, miłość małżeńska przybiera na sile z każdym kilometrem oddalenia. Tę starą prawdę, tak starą, że aż zapomnianą, należy sobie uprzytomnić przed i podczas podróży. Lecz wyjazdy z własną żoną co jakiś czas są wskazane i celowe. Bo tylko własna żona może być odpowiednim partnerem, gdy już nam dokuczy znużenie po wycieczkach górskich, po pływaniu, po turach samochodowych itd.

Urlopowa korespondencja

Zgoda, ale tylko prywatna. Boże uchowaj od listów w interesach. Mieszkając w pensjonacie czy w hotelu, jest się narażonym na podejrzliwość służby, jeżeli nie otrzymuje się żadnych pocztowych przesyłek. Tylko obfita poczta prywatna zapewnia znaczenie i uznanie. Zresztą korespondowanie z przyjaciółmi podczas urlopu — zwłaszcza jeżeli otrzymują piękne zdjęcia z wystawy paryskiej, z Włoch z Dalmacji, z Grecji czy z Marokka lub Egiptu i pękają z zazdrości — podtrzymuje towarzyskie stosunki, twój prestige i dobre intencje wobec ciebie. Gdyby jednak wśród poczty znalazł się jakiś rachunek, lepiej go nie otwierać. To psuje humor — a wierzyciel nie ucieknie.



Piza — chrzcielnica.



Nie dajmy się oszołomić nowemi nazwiskami.

Przykry jest coprawda nawał obcych nazwisk, które atakują naszą umysłowość i grożą oszołomieniem. Ale to nic strasznego! Nazwiska te przemkną koło nas i nie dotrą do naszej bliższej świadomości, podobnie, jak szereg obcych twarzy, lawina obcych języków, co wszystko napawa nas uczuciem obcości i wrogiego nastroju.

Ta burza przemija, obcość zmienia się w swojskość, wszystko układa się wkrótce jak najlepiej. Twarze, które wydawały się nam wrogie, poznajemy bliżej i dochodzimy do przekonania, że są przyjazne lub obojętne. Taksamo uporządkowuje się wkrótce w naszej wyobraźni cykl nowych obrazów, nawał nowych nazw miejsc wycieczkowych, dolin, gór i innych misterjów geografji. Po powrocie do domu konstatujesz z przyjemnością, że pamiętasz nazwę każdego pawilonu wystawowego czy każdej oazy na pustyni, ruin starożytnych w Grecji czy Rzymie, każdej wyspy na jeziorze czy na morzu, nad którem przebywałeś. Cytowanie tych nazw imponuje przyjaciołom, a uświadamiając sobie to, wymawiamy je z rozkoszowaniem się miłem wspomnieniem, z pełną zapału i wyrwałości rutyną. Z uśmiechem pobłażania nad samym sobą przypominamy sobie, jak to na początku podróży dawały się nam te wszystkie nazwiska i nazwy we znaki, jak utrudniały orjentację w podróży i jak nas denerwowały. Każda nazwa zamienia się z niezdobytej pamięciowo fortecy w przyjazny azyl, każdy człowiek, którego z początku uważaliśmy za dokuczliwego i wrogiego natręta, figuruje w naszem wspomnieniu jako jednostka miła i wartościowa. I nawet ten fakt nie niepokoi naszego sumienia, że zczasem najbardziej czarująca i oszałamiająca kochanka przeobraża się w podróży w żonę, taksamo dokuczliwą i nieodłączną, a własna żona staje się po naszym powrocie niepokojącą i niedocenioną kochanką. **Wiktor Wittner.**



Na lewo: Widok na bazylikę św. Piotra w Rzymie spod kolumnady placu.



Powyżej: W drodze na Grand Corniche (Riviera francuska.

Poniżej: Paryż — widok na tereny wystawowe.







WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT Dr. WACŁAW SZPERBER — KRAKÓW.

Ziemie, które wydały słynnych Polaków

Zamieszczona obok szkicowa mapka miejsc urodzin nieżyjących, najwybitniejszych plastyków i muzyków polskich została opracowana na podstawie „Encyklopedji Trzaski, Everta i Michalskiego" oraz „Spisu artystów polskich" dr. E. Swieykowskiego.

Celem tego zestawienia jest wykazanie w formie graficznej nasilenia miejsc urodzin najwybitniejszych naszych talentów twórczych w różnych okolicach ziem Polski. W tym numerze podajemy na mapce ilość narazie tylko plastyków i muzyków, przedstawioną na danym obszarze przez odpowiedni znak graficzny. Paleta oznacza malarzy, rzeźbiarzy i architektów — lira zaś muzyków. W następnych numerach zamieścimy zestawienia pisarzy i poetów, uczonych itd.

Mapka nasza jest pierwszą próbą w tym kierunku i jako taka wzbudzi zainteresowanie przedewszystkiem w sferach artystycznych oraz niewątpliwie pobudzi innych do uzupełnienia jej na podstawie nowych historycznych źródeł.

PLASTYCY

Ziemia Krakowska

1) Bakałowicz Władysław 1833 Chrzanów. 2) Bełtowski Juljusz 1852 N. Targ. 3) Bieszczad Seweryn 1852 Jasło. 4) Cengler Juljusz 1828 Kraków. 5) Cercha Maksymiljan 1818 Kraków. 6) Cynk Florjan 1838 Kraków. 7) Czechowicz Szymon 1689 Kraków. 8) Czynciel Celestyn 1858 Kraków. 9) Dulębianka Marja 1862 Kraków. 10) Daum Alfred 1854 Baranów. 11) Eljasz Walery 1840 Kraków. 12) Fałat Juljan 1853 Tuligłowy. 13) Filippi Parys 1836 Kraków. 14) Gadomski Walery 1853 Kraków. 15) Gorczyński Adam 1805 Tarnów. 16) Grabowski Andrzej 1833 Zwierzyniec pod Krakowem. 17) Gramatyka Antoni 1841, Kalwarja Zebrzydowska. 18) Gryglewski Aleksander 1833 Brzostek. 19) Hendel Zygmunt 1862 Kraków. 20) Jabłoński Izydor 1835 Kraków. 21) Kaniewski Ksawery 1809 Kraków. 22) Konicz Tadeusz 1700 Kraków. 23) Koniuszko Wacław 1854 Kraków. 24) Kossak Juljusz 1824 Wiśnicz. 25) Kotsis Aleksander 1836 Ludwinów. 26) Kozakiewicz Antoni 1841 Kraków. 21) Krzesz Józef Męcina 1860 Kraków. 28) Kurzawa Antoni 1843 na Podkarpaciu. 29) Langman Zygmunt 1865 Kraków. 30) Lepszy Edward 1854 Oświęcim. 31) Lipiński Hipolit 1846 Nowy Targ. 32) Löffler Leopold 1828 Kraków. 33) Łepkowski Ludwik 1829 Kraków. 34) Łuszczkiewicz Władysław 1828 Kraków. 35) Machalski Ludwik 1875 Kraków. 36) Markowicz Artur 1872 Kraków. 37) Michałowski Piotr 1802 Kraków.. 38) Morawski Szczęsny 1818 Rzeszów. 39) Matejko Jan 1838 Kraków. 40) Mroczkowski Aleksander 1850 Kraków. 41 Peszka Józef 1767 Kraków. 42) Piotrowski Antoni 1853 Kraków. 43) Pleszowski Antoni 1857 Kraków. 44) Płonczyński Aleksander 1822 Kraków. 45) Pociecha Michał 1852 Prokocim. 46) Popiel Antoni 1865 Szczakowa 47) Siedlecki Franciszek 1867 Kraków. 48) Stasiak Ludwik 1858 Bochnia. 49) Stattler Henryk 1834 Kraków. 50) Stattler Wojciech Kornel 1800 Kraków. 51) Świerzyński Saturnin 1820 Kraków. 52) Szynalewski Feliks 1825 Kraków. 53) Tetmajer Włodzimierz 1862 w Harklowej (pow. nowotarski). 54) Tondos Stanisław 1854 Kaków. 55) Wyspiański Stanisław 1869 Kraków. 56) Zaleski Marcin 1796 Kraków. 57) Zaremba Karol arch. 1846 Kraków. 58) Zawiejski Jan 1854 Kraków. 59) Zawiejski Mieczysław 1856 Kraków. 60) Zawiejski Jan 1854 Kraków.

Ziemia Warszawska.

1) Brodowski Józef 1817. 2) Buchbinder Szymon 1850 Radzym. 3) Celiński Sławomir 1852 Warszawa. 4) Chełmoński Józef 1850 Boczki. 5) Ejsmond Franciszek 1859 w Krogólowej (Opoczyńskie). 6) Gerson Wojciech 1831 Warszawa. 7) Gierymski Aleksander 1849 Warszawa. 8) Gierymski Maksymiljan 1846 Warszawa. 9) Hakowski Józef 1834 Warszawa. 10) Harasymowicz Marceli 1859 Warszawa. 11) Jabłczyński Feliks 1869. 12) Kapliński Leon 1826 Lisów. 13) Kasprzycki Wincenty 1802 Warszawa. 14) Kostrzewski Franciszek 1826 Warszawa. 15) Kowalski Wierusz Alfred 1849 Suwałki 16) Kotarbiński Wilhelm 1849 Nieborów. 17) Kowalewski Bronisław 1870 Nadzele (Płock). 18) Kucharzewski Ludwik 1842 Pułtusk. 19) Kubicki Jakób arch. 1753 Warszawa. 20) Kucharski Aleksander 1741 Wilanów. 21) Kwiatkowski Antoni 1809 Pułtusk. 22) Lentz Stanisław 1862 Warszawa. 23) Lesser Aleksander 1814 Warszawa. 24) Malczewski Jacek 1855 Radom. 25) Maleszewski Tytus 1829 Sieradz. 26) Marconi Leonard 1836 Warszawa 27) Masłowski Stanisław 1853. Włodzimierz. 28) Maszyński Juljan 1847 Warszawa. 29) Minasowicz Jan 1797 Warszawa. 30) Noakowski Stanisław 1867 Nieszawa. 31) Odrzywolski Sławomir 1846 Zakrzówek. 32) Orłowski Aleksander 1777 Warszawa. 33) Pawliszak Wacław 1866 Warszawa. 34) Pilatti Ksawery 1843 Warszawa. 35) Pilatti Henryk 1832 Warszawa. 36) Piwarski Jan Feliks 1794 Warszawa. 37) Płoński Michał 1783 Warszawa. 38) Podkowiński Władysław 1866 Warszawa. 39) Pruszyński Andrzej 1836 Warszawa. 40) Probiszewicz Zygmunt 1876 Warszawa. 41) Rapacki Józef 1850 Warszawa. 42) Rosen Jan 1854 Warszawa. 43) Rygier Teodor 1841 Warszawa. 44) Ryszkiewicz Józef 1856 Warszawa. 45) Simmler Józef 1823 Warszawa. 46) Stankiewicz Aleksander 1824 Warszawa. 47) Strzałecki Wandalin 1855 Warszawa. 48) Świerzewski Aleksander 1839 Warszawa. 49) Szymanowski Wacław 1855 Warszawa. 50) Slewiński Władysław 1854 Warszawa. 51) Trojanowski Wincenty 1859 Warszawa. 52) Weloński Pius 1849 w Kundelanach (Suwałki). 53) Wolski Stanisław 1859 Warszawa. 54) Wyczółkowski Leon 1852 Warszawa. 55) Wywiórski Michał 1861 Warszawa. 56) Zaleski Antoni 1824 Warszawa.

Ziemia Lwowska.

1) Ajdukiewicz Tadeusz 1852 Witkowice. 2) Barącz Tadeusz 1849 Lwów. 3) Błotnicki Tadeusz 1858 Lwów. 4) Dębicki Stanisław 1866 pod Lwowem. 5) Głogowski Jerzy arch. 1877



Lwów. 6) Gottlieb Maurycy 1856 Drohobycz. 7) Konieczny Włodzimierz 1886 Jarosław. 8) Leopelski Wilhelm 1830 Drohobycz. 9) Markowski Juljan 1846 Lwów. 10) Maszkowski Marceli 1837 Lwów. 11) Młodnicki Karol 1836 Lwów. 12) Ostrowski Kazimierz 1848 Lwów. 13) Raczyński Aleksander 1822 Lwów. 14) Rejchan Alojzy 1808 Lwów. 15) Rodakowski Henryk 1823 Lwów. 16) Schouppe Alfred 1812 w sanockiem. 17) Streitt Franciszek 1839 Brody. 18) Styka Jan 1858 Lwów. 19) Tałowski Teodor Marjan 1857 Sassów. 20) Tepa Franciszek 1828 Lwów. 21) Zacharjewicz Juljan Oktawjan 1837 Lwów. 22) Żmurko Franciszek 1859 Lwów.

Podole.

1) Chlebowski Stanisław 1835 Pokutyńce. 2) Fabijański Erazm 1826 Żytomierz. 3) Guyski Marceli 1832 w Krzywoszyńcach. 4) Stanisławski Jan 1860 w Olszanie. 5) Straszyński Leonard 1828 Tokarzówka pow. winogradzki. 6) Dr Zubrzycki Sas Jan Karol arch. 1860 Tłuste pod Czortkowem.

Ziemia Wileńska.

1) Alchimowicz Kazimierz 1840 Dziębrowo. 2) Andriolli Michał Elwiro 1837 Wilno. 3) Kamieński Antoni 1861 Wilno. 4) Podczaszyński Karol arch. 1790 Wilno. 5) Römer Alfred 1832 Wilno. 6) Ruszczyc Ferdynand 1870 Bohdanówka. 7) Smokowski Wincenty 1797 Wilno. 8) Stabrowski Kazimierz 1876 w Kruplanach. 9) Suchodolski January 1795 Grodno. 10) Weyssenhoff Henryk 1859 w Pokrewniu (Kowieńskie). 11) Witkiewicz Stanisław 1851 Wileńskie. 12) Żamett Wojciech 1820 Wilno.

Wielkopolska.

1) Łaszczyński Bolesław de Verbno 1843 Grabów (pow. wrzesiński). 2) Marcinkowski Władysław 1858 Mieszków. 3) Mazurek Bartłomiej 1856 Antonin (pow. jarociński). 4) Michalski Zygmunt 1864 w Uzarzawie. 5) Mielżyński Seweryn 1804 Poznań. 6) Sokołowski Zygmunt 1859 Poznańskie. 7) Szolc Kazimierz 1846 w Gostyniu.

Ziemia Kaliska.

1) Glicenstein Henryk 1870 Turek (Kaliskie). 2) Głębocki Adryan 1833 w Pankach pod Częstochową. 3) Miller Karol 1839 Częstochowa.

Ziemia Kielecka.

1) Szermentowski Józef 1833 w Bodzentynie. 2) Sztencel Maurycy 1856 Częstochowa.

Ziemia Wołyńska.

1) Brodzki Wiktor 1825 Oleksinek. 2) Stroynowski Leonard 1858 Butyń nad Horyniem. 3) Masłowski Stanisław 1853 Włodawa.

Ziemia Stanisławowska.

1) Grottger Artur 1837 Ottynia. 2) Makarewicz Juljusz 1862 w Stanisławowie.

Ziemia pomorska.

1) Jaroczyński Marjan 1819 Toruń. 2) Piotrowski Maksymiljan 1813 Bydgoszcz.

Ziemia Lubelska.

1) Brandt Józef 1841 Szczebrzeszyn. 2) Czachórski Władysław 1850 Grabowczyk (Hrubieszowskie). 3) Oleszczyński Antoni 1794 Krasnystaw.

Żmudź.

1) Witkiewicz Stanisław 1851.

MUZYCY

Ziemia Warszawska.

1) Barcewicz Stanisław 1858 Warszawa. 2) Chopin Fryderyk 1810 Wola Żelazowa. 3) Elsner Józef 1769 Warszawa. 4) Kozłowski Józef 1757 Warszawa. 5) Maszyński Piotr 1855 Warszawa. 6) Mierzwiński Władysław 1850 Warszawa. 7) Fontana Juljan 1810 Warszawa. 8) Kozłowski Józef 1757 Warszawa. 9) Pankiewicz Eugeniusz 1858 Siedlce. 10) Sowiński Wojciech 1805 Warszawa. 11) Sygietyński Antoni 1850 Warszawa 12) Wieniawski Henryk 1835 Warszawa. 13) Wieniawski Józef 1837 Warszawa.

Wielkopolska.

1) Kurpiński Karol 1757 Wołoszaków. 2) Szamotulski Wacław 1529 Szamotuły.

Ukraina.

1) Szymanowski Karol 1883 w Tymoszówce.

Ziemia Lubelska.

1) Lipiński Karol 1790.

Ziemia Wołyńska.

1) Kleczyński Jan 1837.

Ziemia Poleska.

1) Młynarski Emil 1870 w Kinartach.

Ziemia Białoruska.

1) Moniuszko Stanisław 1819 Ubiel.

Żmudź.

1) Górzewski Adolf 1876.

Ziemia Kielecka.

1) Melcer Henryk 1869 Kalisz.

Ziemia Litewska.

1) Karłowicz Mieczysław 1876.

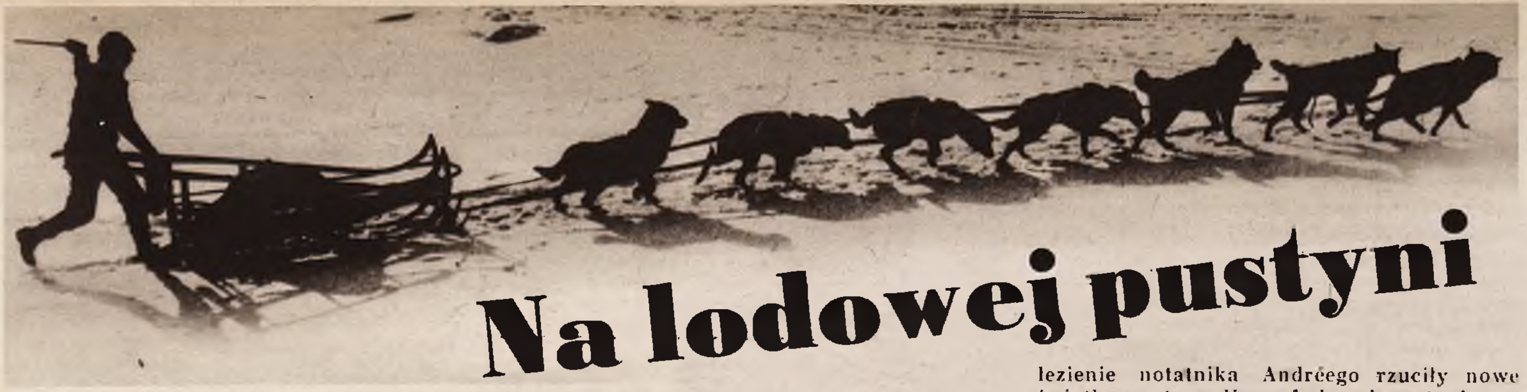
Ziemia Lwowska.

1) Niewiadomski Stanisław 1859 Lwów. 2) Felsztyński Sebastjan 1490 Felsztyn. 3) Gall Jan 1852 Lwów. 4) Sołtys Mieczysław 1863 Lwów. 5) Marcin Leopolita ok. 1500 Lwów.

Ziemia Krakowska.

1) Kątski Antoni 1817 Kraków. 2) Żeleński Władysław 1837. 3) Gomółka Mikołaj 1550. 4) Sebastjan z Felsztyna ok. 1470. 5) Bekwarek lutnista ok. 1500.

Ułożył M. Dienstl-Dąbrowa.



Na lodowej pustyni

Poza wydarzeniami na Dalekim Wschodzie największą uwagę całego świata budzi obecnie Biegun Północny. „Zagadnienia polarne" zyskują z każdym niemal dniem na aktualności; niedługo zapewne staną się one przedmiotem obrad dyplomatycznych, a kto wie, czy nie kryją także w sobie zarzewia jakiejś przyszłej wojny.

Ostatnie dziesięciolecie obfitowało w liczne wyprawy polarne skierowane zarówno ku odkryciu nieznanych lądów Antarktydy, jak i ku Biegunowi Północnemu. Zapoczątkowała je wyprawa przed 9 laty do Antarktydy Huberta Wilkinsa, który po raz pierwszy użył nowego środka lokomocji — samolotu. Nieznany ten dawniejszym wyprawom sposób przebywania niegościnnych obszarów polarnych wykazał tak znaczne korzyści, że niemal wszystkie następne wyprawy poszły śladami Wilkinsa.

Największy rozgłos zyskały wyprawy admirała Ryszarda Byrda, zdobywcy obu biegunów. Po pierwszej wyprawie Byrda na zbadanie obszarów antarktycznych wyruszają wyprawy: norweska i brytyjsko-australijsko-nowozelandzka. Niestrudzony badacz polarny Boald Amundsen, który pierwszy na hydroplanie wyruszył na zdobycie Bieguna Północnego, rzucił myśl użycia do badań polarnych sterowca. Sterowiec „Norge" okrążył nietylko biegun, lecz także po raz pierwszy w historji przebyto całe Morze Polarne. Na skonstruowanym przez gen. Nobilego sterowcu „Italja" wyruszyła na zdobycie Bieguna Północnego wkrótce nowa wyprawa, która zakończyła się katastrofą. Dla ratowania rozbitków wyruszyły wtedy liczne wyprawy ratunkowe. W poszukiwaniach za zaginionymi uczestnikami wyprawy Nobilego bohaterską śmierć poniósł Amundsen. Zapalony badacz polarny Wilkins podjął niedawno powtórną wyprawę do Bieguna Północnego przy pomocy łodzi podwodnej. Systematyczne badania północnych obszarów polarnych rozpoczęli uczeni sowieccy, a śmiałe i rekordowe loty sowieckich lotników na przestrzeni Moskwa—San Francisco budzić muszą powszechny podziw. Na wyspie Rudolfa, najbardziej na północ wysuniętej z archipelagu Ziemi Franciszka Józefa, został zbudowany wielki port lotniczy z hangarami, warsztatami i obserwatorjami. Sowiecka ekspedycja ma pozostać na Biegunie Północnym przez czas dłuższy i prowadzić pomiary i obserwacje, mające duże znaczenie dla meteorologji.

Mimo jednak tak potężnego rozwoju techniki, a aeronautyki w pierwszym rzędzie, wyprawy polarne i dzisiaj nie należą do przedsięwzięć łatwych i wolnych od niebezpieczeństw. Groźnemi przykładami mogą być chociażby katastrofa Nobilego i los Amundsena, jak i ostatnio zaginięcie znakomitego lotnika Lewoniewskiego, któremu ciężkie warunki niegościnnej Północy nie pozwoliły na ukończenie śmiałego lotu do Ameryki ponad biegunem, którego odszukania podjęło się obecnie kilka ekspedycyj ratunkowych. Z tem większym podziwem patrzeć musimy na tych, którzy poprzednio uzbrojeni tylko we własne bohaterstwo i nieugiętą siłę woli, podejmowali wyprawy dla odsłonięcia tajemnic nieznanych krain podbiegunowych.

A właśnie obecnie mija 40 lat od chwili jednego z najzuchwalszych przedsięwzięć ludzkich — wyprawy Andréego do Bieguna Północnego. Losy tej tragicznej wyprawy osłonięte były przez trzydzieści parę lat zupełną tajemnicą, a dopiero niedawne przypadkowe odkrycie szczątków wyprawy i znalezienie notatnika Andréego rzuciły nowe światło na tragedję w lodowej pustyni.



Odjazd Andréego i towarzyszy na Spitsbergen.



Balon Andréego „Orzeł" po wylądowaniu pod biegunem.



Amundsen podczas wyprawy polarnej.

Salomon August Andrée, urodz. w r. 1854, już od najmłodszych lat interesował się mechaniką, a zwłaszcza wzlotami balonem. Po ukończeniu wyższej szkoły technicznej wyjechał do Ameryki. Pierwszym jego nauczycielem w dziedzinie aeronautyki był lotnik Wise, który — jak na ówczesne czasy — wykonał rekordową ilość wzlotów balonem. Po półrocznym pobycie w Ameryce, wrócił Andrée do Szwecji i kolejno zajmował kilka stanowisk jako inżynier.

Z zagadnieniami polarnemi zetknął się Andrée po raz pierwszy w r. 1882, biorąc udział w zbiorowej pracy wielu państw europejskich i St. Zjednoczonych. Zadaniem Andréego było techniczne przygotowanie szwedzkiej ekspedycji, która objęła stację badań polarnych na Spitsbergen i badanie zjawisk elektrycznych, oraz ustalenie związku pomiędzy wahaniami elektrycznemi powietrza i magnetyzmem ziemskim.

Samodzielnie żeglugą powietrzną mógł zająć się Andrée dopiero w r. 1893, kiedy otrzymał do swej dyspozycji balon „Svea". Podczas dokonywanych wzlotów przeprowadzał on obserwacje naukowe, badając temperaturę i stopień wilgotności powietrza, opady, skład powietrza i t. d. Loty balonowe odbywał samotnie, a niektóre z nich, jak np. z Göteborga na Gotlandję, w którym przestrzeń 400 km przebył w niecałych pięciu godzinach, zjednały mu duży rozgłos.

Pomysł zużytkowania lotu balonowego dla badania krain polarnych poddał Andréemu znakomity żeglarz i badacz polarny A. E. Nordenskiöld. Projekt ten niezmiernie zapalił Andréego, który rozpoczął szczegółowe studja nad urzeczywistnieniem lotu do Bieguna Północnego.

Z początkiem r. 1895 przedstawił Andrée swe śmiałe projekty w Akademji i w Szwedzkiem Tow. Antropologiczno-Geograficznem. Uzasadniając zamiar przedstawiał trudności, jakie napotyka badacz polarny w podróży przez morza polarne pokryte lodem. Próby przedostania się do wnętrza Morza Lodowatego przy pomocy statków nie dały rezultatu, również i ekspedycje w saniach przyniosły tylko bardzo nikłe wyniki. Zdaniem Andréego zadaniu temu może podołać technika balonowa. Balon polarny winien mieć tylko dostateczną siłę nośną dla pomieszczenia trzyosobowej załogi, żywności i ekwipunku na 4 miesiące, instrumentów i niezbędnego balastu. Powłoka balonu powinna być szczelna, by balon mógł się utrzymać w powietrzu przez miesiąc, a balon sam powinien mieć do pewnego stopnia możność sterowania. Koszt polarnej wyprawy do bieguna obliczył Andrée na 130.000 koron.

Po przeprowadzeniu dyskusji projekt Andréego został przychylnie przyjęty. Sam



Na prawo: Samolot Byrda w locie do Bieguna Południowego.

sławny wynalazca dynamitu Alfred Nobel dał na cel wyprawy Andréego połowę potrzebnej sumy, co pozwoliło Andréemu na zamówienie balonu i rozpoczęcie przygotowań do lotu polarnego.

W czerwcu 1896 r. wyruszył Andrée na Spitsbergen, gdzie miano napełnić balon i skąd miała wyruszyć ekspedycja. W szybkiem tempie zabrano się do budowy hangaru balonowego, prace przygotowawcze przeciągały się jednak i ostatecznie brak pomyślnego wiatru zmusił Andréego do odłożenia swego lotu do roku następnego. Już w maju 1897 r. wyruszył Andrée na Spitsbergen i po odnowieniu hangaru, zniszczonego częściowo zimowemi huraganami, przystąpił do napełniania balonu i ostatnich przygotowań.

11 lipca 1897 r. wszystko było już przygotowane, a pomyślny wiatr wydawał się sprzyjać śmiałemu przedsięwzięciu. Współtowarzysze Andréego, Nils Strindberg, asystent fizyki w Wyższej Szkole Technicznej w Sztokholmie i inż. Knut Fraenkel z niecierpliwością oczekiwali odlotu, sam jednak inicjator wyprawy, który dotąd tak głęboko i niezachwianie wierzył w jej powodzenie, jak gdyby powziął pewne wątpliwości. Świadczą o tem słowa, wypowiedziane na parę godzin przed odlotem do kapitana statku: „Naradzaliśmy się właśnie, czy mamy jechać czy nie; towarzysze moi naglą do lotu, a ponieważ nie mam żadnych uzasadnionych powodów do opierania się temu, ustępuję, chociaż nie jestem zupełnie pewny powodzenia".

W południe tego dnia nastąpił odlot. — Wśród okrzyków uczestników wyprawy „Niech żyje Szwecja", „Orzeł" uwolniony od lin przytrzymujących zaczął unosić się w powietrze. Posuwał się on wolno w kierunku północno-wschodnim, a liny balonowe sunęły po wodzie, pozostawiając na powierzchni szeroką spienioną bruzdę.

Wtem zebranych obok hangaru i obserwujących lot „Orła" zmroził okrzyk jednego z marynarzy: „Przecież liny balonowe zostały na brzegu". Rzeczywiście okazało się, że dolne części lin, połączone śrubami z częściami górnemi, rozkręciły się w czasie odlotu i opadły na ziemię. W ten sposób uczestnicy wyprawy stracili możność sterowania balonem, który stał się igraszką wichrów.

Podróż balonem Andréego i towarzyszy trwała zaledwie trzy dni. Z tego okresu czasu zaledwie przez dziesięć i pół godziny posuwał się „Orzeł" wolnym lotem, przebywając około 400 km, reszta czasu przypadała na lot uż nad ziemią, w czasie którego liny zaczepiały się o bloki lodowe a gondola uderzała o ziemię. Mimo pozbycia się balastu a nawet części żywności balon, na którym osadzał się śnieg i lód, tracił swą nośność coraz bardziej, aż wreszcie osiadł na pokrywie lodowej.



Samuel August Andrée (1854—1897).



Admiral Byrd.



General Nobile.



Balon Nobilego »Italja« w locie do Bieguna Północnego.



Na lewo: Trasa przelotu balonu Nobilego.

Członkowie wyprawy zostali zdani na własne siły. Poczynione pomiary pokazały, że znajdowali się pod 83° szer. geogr. półn. i 30° dług. wsch., w odległości około 500 km od miejsca odlotu. Przyczyną niepowodzenia lotu poza utraceniem lin balonowych. było zimne i wilgotne powietrze polarne Liczył się z tem Andrée, skonstruował nawet pokrywy ochronne na wierzchołku balonu; nie przewidywał jednak, że mgła mogła tworzyć warstwy lodu, obciążające tak znacznie balon.

W Szwecji i w całym świecie z niecierpliwością czekano na wiadomości, które Andrée miał przesłać za pośrednictwem gołębi pocztowych i pływaków. Pierwszą wiadomość od wyprawy balonowej otrzymano przez gołębia w tydzień po odlocie; została ona wysłana w trzecim dniu lotu i donosiła, że wszystko jest w porządku. Następne wiadomości o postępie lotu przyniosły pływaki dopiero w dwa i trzy lata później. Od tego czasu zaginął wszelki ślad po wyprawie. — Wysyłane specjalne ekspedycje wracały bez żadnych rezultatów.

Wkońcu uznano Andréego i jego towarzyszy za straconych. Prasa, która z tak wielkiem zainteresowaniem oczekiwała wiadomości od Andréego, zaczęła rozpisywać się na temat ryzykowności tej wyprawy, która miała rzekomo dowieść, że podróż balonem na podbicie krain polarnych jest niebezpieczną mrzonką. Utwierdzała się raczej opinja o lekkomyślności tego przedsięwzięcia i powoli zapomniano niemal całkowicie o Andréem i jego towarzyszach. Dopiero w trzydzieści parę lat później nadeszły z dalekiej północy wiadomości o znalezieniu szczątków wyprawy Andréego, które zelektryzowały cały świat.

W sierpniu roku 1930-go wylądowała na wyspie Vitö, najbardziej na wschód wysuniętej z grupy Spitsbergen, norweska wyprawa na statku łowców fok „Bratvaag".

Podczas poszukiwań wody na wyspie natrafiono niespodziewanie na łódź z płótna żaglowego, zagrzebaną w śniegu, wypełnio-

Dokończenie na str. 20-ej.

Poniżej: Sylwetka hydroplanu, przelatującego nad morzem polarnem.



Dokończenie ze str. 19-ej.

ną różnymi przedmiotami. Napisy „Andrées pol. exp. 1897" dowiodły, że przed 33 laty na tem miejscu nastąpiła tragedja wyprawy Andréego. Wreszcie zostały odnalezione i zwłoki uczestników wyprawy oraz notatki, a w pierwszym rzędzie najważniejszy notatnik Andréego, zawierający ogólny przebieg wyprawy. Mimo przeleżenia przeszło 30 lat w wilgoci udało się go przeważnie odcyfrować, podobnie ze znalezionych filmów udało się wyratować i wywołać 12 zdjęć. — Z tych dokumentów można zrekonstruować tragiczne losy wyprawy.

„Orzeł" spadł na powierzchnię morza, które pokryte było krą. Niezliczone masy brył lodowych różnej wielkości i kształtu tworzyły zwarte pole lodowe, przecinane szczelinami różnej szerokości i długości.

Wyprawa Andréego miała do wyboru: albo pozostać w miejscu lądowania i dać się unieść lodom, albo odważyć się na wędrówkę przez morze, pokryte gęsto krami. Po naradzie zdecydowali się nieszczęśliwi rozbitkowie na wymarsz w kierunku Ziemi Franciszka Józefa, zwłaszcza, że na przylądku Flora złożone zostały dla wyprawy zapasy żywności. Po przygotowaniach do drogi, trwających cały tydzień, wyruszono wreszcie saniami, zabierając ze sobą i łódź. Jak z zachowanych notatek widać, już od początku napotykali na znaczne trudności.

Każdy ciągnął sanie o ładunku do 200 kg. Teren jednak okazał się tak trudny do przebycia, że musieli zrezygnować z części zapasów i ekwipunku, redukując obciążenie poszczególnych sani do 130 kg. Okolicznością pomyślną dla nich było ukazanie się niedźwiedzi, których mięso uzupełniało posiadane zapasy żywności. Prócz niedźwiedzi napotykali na foki i ptactwo polarne.

Po kilkunastu dniach uciążliwego marszu, w którym — jak pisze w swym notatniku Andrée — uczestnicy wyprawy zużyli swe najlepsze siły, przekonano się, że prąd lodowy spychał ich tak silnie w kierunku południowym, że nigdy nie dotarli do przylądka Flora. Zgodnie postanowili wobec tego zmienić kierunek marszu i posuwać się ku Siedmiu Wyspom, gdzie również znajdował się przygotowany dla wyprawy skład żywności.

Z początkiem sierpnia rozpoczął się marsz w kierunku południowo-zachodnim. Droga była niezmiernie ciężka. Nieregularne bloki lodowe tamowały przejście, sanie niejednokrotnie wpadały do wody, grożąc zatonięciem, zapasy żywności ulegały zamoknięciu. Zaczęło szwankować również i zdrowie uczestników wyprawy.

Po miesiącu posuwania się, Andrée i jego towarzysze stwierdzili, że znajdowali się o 135 km na południe z niewielkiem odchyleniem na wschód zamiast na południowym zachodzie. Walka z przemożnym prądem była daremna. Sytuacja zaczęła stawać się coraz cięższa. Temperatura zaczęła się coraz silniej obniżać, dają się we znaki mroźne wichury. Ogólny nastrój przygnębienia odbija się przerwami w natatkach.

Widząc w końcu, że wiatr pędzi ich nieprzezwyciężenie między Ziemię Północno-Wschodnią a Ziemię Franciszka Józefa i że niema nadziei na dotarcie do Ziemi Północno-Wschodniej, powzięli 13 września decyzję przerwania marszu i zimowania na lodzie.

„Położenie nasze jest niepomyślne" zapisuje Andrée. Na niepewnej krze znajdowało się trzech wyczerpanych już i chorych ludzi z niedostatecznymi zapasami żywności, w poszarpanych i zniszczonych ubraniach. Niedźwiedzie przestały się pokazywać, na szczęście udało się im upolować wielkiego psa morskiego, którego mięso zaopatrzyło ich spiżarnię na pewien czas. Unoszący ich prąd wody ku południowi stawał się coraz szybszy. Wreszcie dopływają do wyspy Vitö, do której dostęp jednak okazał się bardzo utrudniony.

Zimę polarną posanowili spędzić na dużej krze lodowej. Zbudowali z brył lodu i śniegu domek, który nazwali „ogniskiem domowem". Kiedy praca nad budową domku była już na ukończeniu — kra lodowa pękła wzdłuż ściany domku, łamiąc się na niezliczone kawałki. Cały dobytek wyprawy został na sąsiednich krach i wiele trudu trzeba było, by wszystko zebrać i uratować. Mimo ciężkiej sytuacji Andrée zapisuje w swym notatniku: „Nikt nie stracił odwagi. Z takimi towarzyszami można przetrwać, cokolwiekby się stało".

Z lakonicznych dalszych notatek, świadczących o ciężkich przejściach wynika, że w trzy dni po katastrofie na krze lodowej przenieśli się rozbitkowie na wyspę. Niestety większość ostatnich notatek Andréego uległa zniszczeniu i tylko z zachowanych fragmenów zdań i poszczególnych słów możemy próbować odtworzyć przebieg kresu ich wędrówki. Wnosić z nich możemy, że warunki atmosferyczne po wylądowaniu na wyspie, która pokryta była całkowicie wielkiemi rumowiskami lodowymi, były bardzo ciężkie. Dla ochrony przed śnieżycami postanowili zbudować domek, jak wiadomo jednak ze znalezisk na wyspie, planu już tego nie zrealizowali. Ostatni zapisek pochodzi z dn. 17 października 1897 r. i nigdy nie dowiemy się, wiele godzin czy dni może dzieliło ich koniec zagłady od tej daty.

Główną przyczyną śmierci Andréego i jego towarzyszy było wyczerpanie i niedostatecznie ciepłe ubranie, a niemałą rolę zapewne odegrało zrozumienie beznadziejności położenia i zbliżająca się ciężka noc polarna.

Warto zanotować, że na szczątki balonu Andreégo, które nie zostały znalezione, natknął się przed laty znakomity pionier żeglarstwa polskiego gen. Marjusz Zaruski. Zesłany za „przygotowania do wywołania polskiego powstania zbrojnego" do tundry archangielskiej uzyskał on pozwolenie tamtejszego gubernatora zaciągnięcia się na okręt żaglowy w charakterze prostego marynarza. Po roku żeglugi wstąpił do szkoły morskiej a po ukończeniu jej i zdaniu egzaminów został kapitanem handlowego żaglowca „Nadzieja". Na pierwszą swą podróż wyruszył w niezmiernie ciężkich warunkach, gdy całe morze Barentsa i północna część Morza Białego zatłoczone były lodami napływowymi z pod bieguna. Jednego dnia, gdy lody uspokoiły się po przejściu przypływu zobaczył Zaruski i jego załoga jakąś dziwną masę, wmarzniętą głęboko w lód, gmatwaninę płócien i lin. Był to niewątpliwie balon „Orzeł" Andréego. Nacierające jednak kry lodowe nie pozwoliły na wyrąbanie z lodu tych szczątków, które wkrótce na oczach załogi „Nadziei" zatonęły.

Dzisiaj, gdy marzenia Andréego zostały osiągnięte przez jego następców, musimy z pełnym podziwem oceniać jego śmiały plan który niestety przyniósł mu bezlitosną śmierć w lodach podbiegunowej pustyni.

Dr. M.

Dokończenie ze str. 5-ej.

ta, lub do chwili, gdy po kilku rozbitych kieliszkach lub twarzach zlikwiduje zabawę policja.

Orkiestry dumnych jankesów z murzyńskimi dyrygentami przygrywają zabawie wyfraczonych panów z „Shanghaj Clubu", a chiński kierownik, nieczuły na tony harmonij i saksofonów, siedzi za swoim wysokim pulpitem i oblicza na maszynie „winien" i „ma" kelnerów i fordanserek — niczem basza wśród odalisek, cukiernik wśród swoich smakołyków, rzadko tylko przerywając swoją pracę spojrzeniem na sufit, gdzie jaskrawią się reklamy papierosów, wódek i win wśród chińskich latarń z papieru naoliwionego (z elektrycznemi żarówkami — oczywiście), zdobnemi w pagody, bociany, chińskie bogi.

Wreszcie jeszcze jedna cecha amerykańska: rabunek, przemyt, uprowadzania, gangsterstwo. Szanghaj, jak wszystkie środowiska metysów, przejął wady swych przodków, nie rekompensując je żadną ich zaletą. Do wad starych Chin dochodzą jeszcze wady nowej Ameryki. Uprowadzenia dla wymuszenia okupu stały się zwykłą plagą, a przemyt i handel narkotykami kwitnie taksamo, jak przemyt alkoholu w Ameryce w okresie konjunktury prohibicyjnej. Bogaci i wpływowi magnaci jedwabiu, herbaty, banków, szynek wędzonych i płetw rekinów poznali prawie wszyscy na własnej skórze niemiłe okoliczności takich uprowadzeń. By ich uniknąć, płacą niejednokrotnie stały haracz bandom gangsterskim, którego wysokość zależy od konta bankowego „klienta".

W Szanghaju koncentruje się nielegalny handel i przemyt opium i innych narkotyków. Istnieją bogaci i wpływowi potentaci w tej branży, którzy niewiele troszczą się o odnośne paragrafy kodeksu karnego. Chronią ich związki z potężnymi i wpływowymi konfidentami, chroni ich pieniądz, w który opływają, oraz ich własna organizacja, którą sobie stworzyli i którą utrzymują za swoje pieniądze. Dziwny to handel, pełen nagłych niespodzianek na chiński sposób i dramatów à la Edgar Poe.

„Hallo, Harry! Happy Christmas!" „Hallo, Jonnie... Same to you!" Temi to okrzykami w okresie świąt Bożego Narodzenia zamerykanizowani mieszkańcy Szanghaju upodobniają się całkowicie — w ich mniemaniu — do mieszkańców miast Wuja Sama. Większość jednakże z tych, którzy w ten sposób czczą narodziny Chrystusa, pozostaje wierną prawom Buddy. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent kupców urządza olbrzymie, okazyjne sprzedaże z okazji święta narodzin Boga, w którego nie wierzą.

Lecz i w tych to ramach, w których każdy chciałby przeszczepić wraz ze swoim przybyciem obyczaje swej ojczyzny, nie rozstaje się amerykański lub angielski przybysz ze swojemi uprzedzeniami do „kolorowych". Oczywiście, że chętnie odwiedza tubylczą elitę, lecz z wyjątkiem misjonarzy, unika kontaktu z szerszemi warstwami tutejszego społeczeństwa. Na końcu alei Pétaina posiada biały przybysz swój własny kącik, wyłącznie dla własnego użytku, z uniwersytetem na wzór dalekiego Zachodu, kościołem, z bungalowami z zielonemi okiennicami, z rozległemi trawnikami, ogrodzonemi żywopłotem. Tam chroni się przed żółtem otoczeniem, uprawia golf, tenis, gra w brydża, uieżdża kucyki, słucha radja, bierze udział w regatach, uczęszcza na bale i do kin, lecz zawsze tylko w gronie swoich ziomków. Słowem, żyje w Szanghaju życiem amerykańskiem i to tak dokładnie, że po dwudziestoletnim pobycie w Chinach zna ten kraj może gorzej, niżby go znał nie opuszczając Bostonu, czy Filadelfji.

A jednak nie należy przeceniać modernizacji Chin. Zaledwie drobna część tego 400-miljonowego narodu stoi pod urokiem wzorów amerykańskich — i to głównie w siedzibach rządu, w ośrodkach najsilniejszego ruchu turystycznego, w wielkich miastach portowych, nad główną arterją żeglugową, potężnym Jangtsekiangiem, w kilku naczelnych punktach nielicznych linij kolejowych wnętrza kraju. I dziś jeszcze łatwo, jeśli się tylko tego zapragnie, o owe dawne Chiny, o ślady ich prawdziwej, starodawnej kultury. Wpływy Zachodu i Ameryki są mimo wszystko dopiero jakby przybrzeżną pianą nad głębiami oceanu.

Wiktor Micherdziński.

ORŁY Z PODHALA
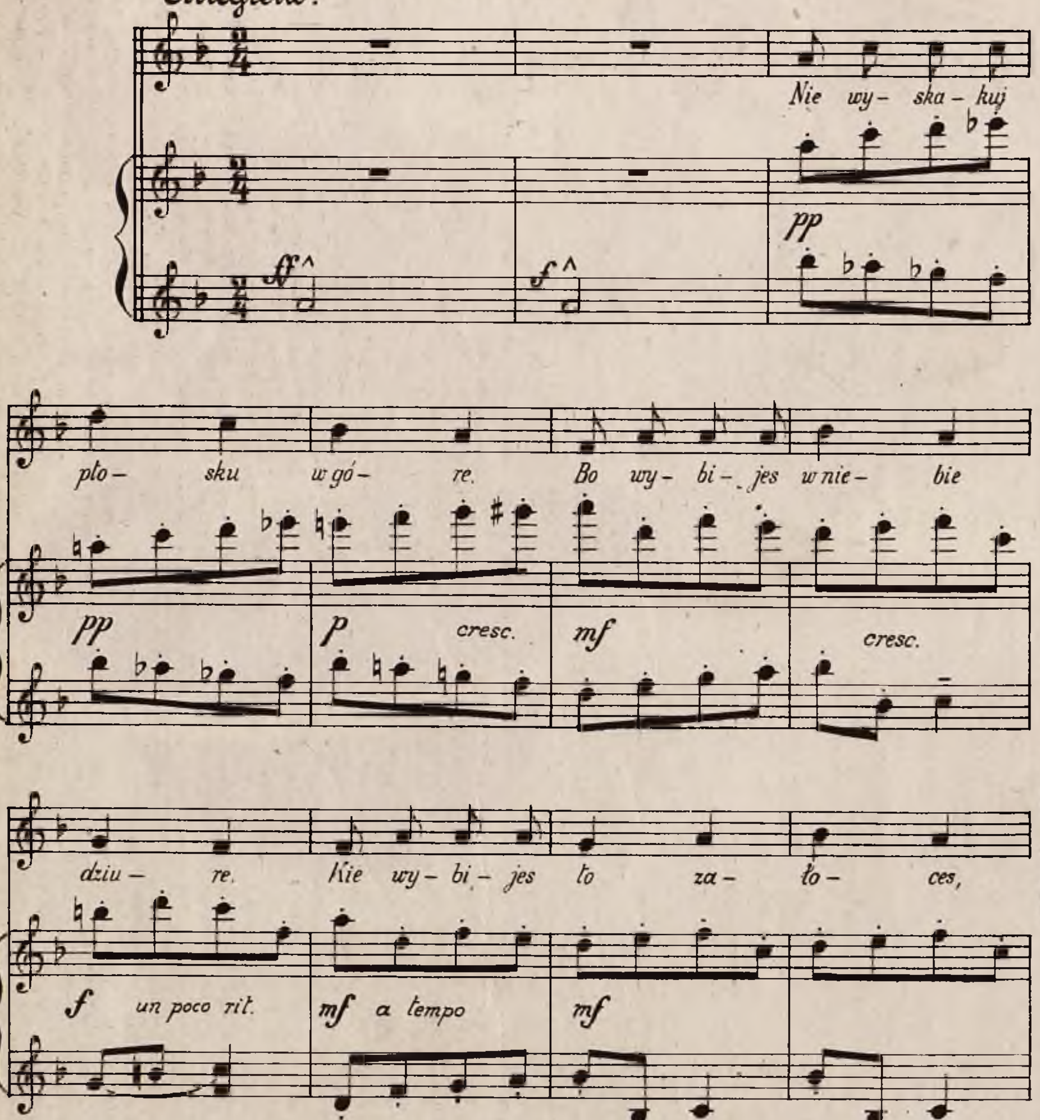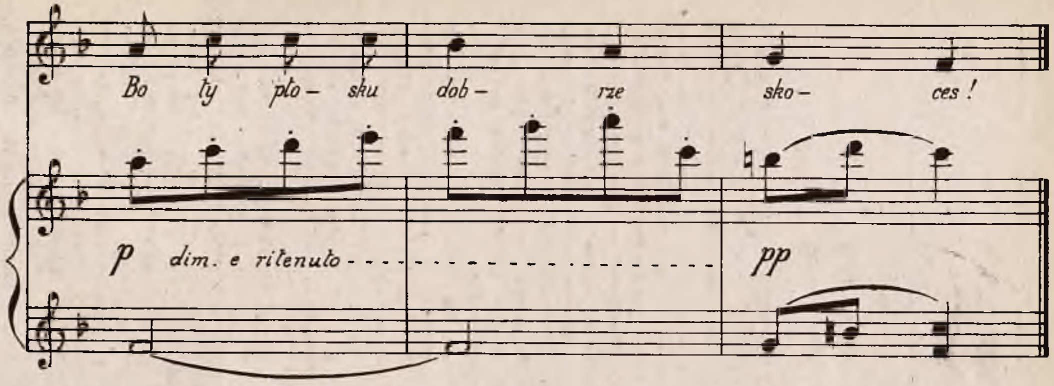


Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

ŚPIWKI Z ORAWY

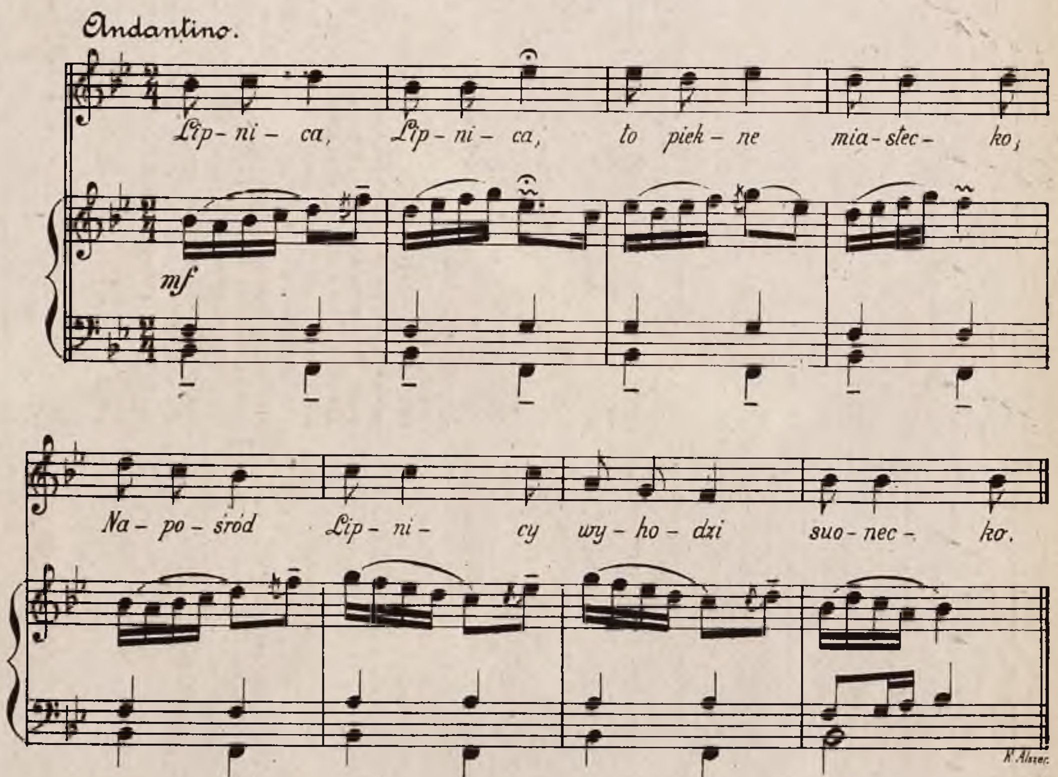
Akompaniament wystylizował:
ZDZISŁAW JACHIMECKI

III.
Ptosek.





IV.
Lipnica – Lipnica.



OBOK ŻYCIA

KAZIMIERZ ŁUKOCZ

NOWELA

— Oczekujemy niecierpliwie wiadomości od pana! — rzekł, podając rękę inżynierowi Barcickiemu, dyrektor wielkiego przedsiębiorstwa chemicznego, mały, krępy, o potężnej łysej głowie — Andrzej Korytko.

— Ale niech się pan wystrzega reporterów! Żyć nie dają człowiekowi przeciętnej sławy, a cóż dopiero takiemu, jak pan wynalazcy! — dodał, śmiejąc się, sekretarz Korytki — Węcławski.

— Nie boję się pism i ich cerberów! — odparł spokojnym tonem inżynier Barcicki. Dowiedzą się o wszystkiem dopiero w chwili, kiedy wszystko będzie już załatwione, podpisane, gotowe! To mój system! Żadnych półrzeczy.

Chłopak z gazetami, idący z dużem pudłem na rzemiennym pasie, przerzuconym przez ramię, wykrzykiwał monotonnie: „Sensacyjny wynalazek! Wojna w Chinach! Atak narodowców w Hiszpanji!"

Inżynier Barcicki, wychylony przez okno wagonu uśmiechnął się pod wąsem. Zauważył to Korytko.

— Już pana wzięli na języki, a raczej na łamy swego pisma!

Ale zanim jeszcze zdołał skończyć zdanie, koła pociągu powoli poczęły się poruszać. Ekspres Warszawa—Paryż wyruszał w daleką podróż, której ostatecznym celem była stolica Zachodu, tętniąca życiem, pulsująca energją, miasto o stu twarzach i tysiącach atrakcyj.

— Sukcesów i wesołej podróży! — rzucili obaj żegnający na dworcu warszawskim Barcickiego koledzy.

— Zaraz po posiedzeniu depeszuję!

Barcicki zawinął się charakterystycznym ruchem w płaszcz, obszerny, angielski, jakby chciał zamknąć się przed wpływem wiatru i wogóle zamknąć wszystkim dostęp do siebie. Nacisnął głębiej kapelusz na głowę, zapalił papierosa i włożywszy ręce do kieszeni, obserwował oddalający się obraz miasta.

Twarde rysy twarzy Barcickiego nabrały jakby jakiejś dziwnej miękkości, stały się mniej wydatne i kanciaste. Chwila, kiedy wsiadał do pociągu paryskiego wydała się mu, jemu człowiekowi, który rejestrował w życiu tylko pozytywne fakty, uroczystą, wzniosłą, pełną czaru i melancholji. I rzecz dziwna, nie starał się nawet otrząsnąć z tego romantycznego nastroju, który go naraz ogarnął, nie wyrzucał go sobie jako słabość, jako przypływ śmiesznego sentymentalizmu. Owszem poddał mu się i cieszył się na chwilę, kiedy pożegnawszy swych dwóch towarzyszy, będzie mógł spokojnie i przez nikogo nie obserwowany puścić wodze swym myślom i zanurzyć się w kole wspomnień. Była to wielka koncesja, jaką zrobił sam sobie Adam Barcicki, gdyż dotychczas życie jego wypełnione było po brzegi pracą, konkretnem dyskontowaniem jej rezultatów i ciągłem dążeniem do coraz to nowych zdobyczy na polu naukowem. Odrzucał on dotychczas wszelkie rozmyślania na temat swej przeszłości, uważając, że jedynie dzień bieżący się liczy i dać może upragnione zwycięstwo.

Teraz gdy cała Europa powtarzała jego nazwisko, gdy wszystkie pisma fachowe i codzienne rozpisywały się w wielkich artykułach o jego wynalazku, teraz, gdy w Paryżu miał podpisać kontrakt eksploatacji wynalazku z wielką francusko-polską wytwórnią chemiczną, mógł pozwolić sobie spojrzenie wstecz, na uczynienie bilansu tych dwudziestu ostatnich lat, jakie potrzebne były, aby zdolny, ale przez całe życie z przeciwnościami losu walczący chemik mógł stać się sławny. Tak, życie Adama Barcickiego było najeżone od samego dzieciństwa trudnościami, których przezwyciężenie wyrobiło w nim rzadko spotykany hart woli, pewność zwycięstwa ostatecznego, optymizm i żelazną konsekwencję myślenia.

Gdy dwadzieścia lat temu opuszczał Paryż, był biednym, nieznanym nikomu człowiekiem. Dwa lata studjów jego w Paryżu przeszły mu na ciągłej pracy w laboratorjach, podczas której przymierał nieraz głodem, lub żywił się w jednej z licznych paryskich garkuchni, w których okok niego zasiadały różne społeczne męty, ludzie wyrzuceni przez los z właściwej koleiny życiowej. Lecz Barcicki zawziął się i stawiał się hardo losowi. Uparł się, że wyjedzie dopiero wtedy z miasta pokus, gdy zdobędzie podstawy pod swoją teorję naukową, gdy odnajdzie pierwsze nitki, mające zaprowadzić go do kłębka prawdy. Przyjaciel jego i kolega uniwersytecki, elegancki blondyn Jacques Romillet, spotykając się z Barcickim codziennie w laboratorjum, zwykł klepać go poufale po ramieniu i uśmiechając się z szczyptą ironji, pytał:

— Rien encore, cher ami?

— Encore rien, mais ça viendra! — brzmiała pewna siebie odpowiedź Barcickiego.

Tak przeszły dwa lata usilnej pracy, która wprawdzie zbliżyła go do postawionego sobie zadania, bynajmniej jednak nie dała mu pożądanego rezultatu. Ale Barcicki umiał czekać. Powróciwszy do Warszawy w dalszym ciągu zabrał się do pracy, przyjmując skromną posadę, zapewniającą mu jaką taką egzystencję.

Dziś miał lat czterdzieści pięć, ale przeżył przez ten czas więcej, niż większość jego dawnych przyjaciół i kolegów. Bo rzeczywiście los, jakby zagniewany na człowieka, którego nie można było ugiąć, zawziął się na niego. Co roku nieomal spadało na niego jakieś nieszczęście, co roku też Barcicki musiał zdwajać zapasy swej energji, aby nie dać się zmiażdżyć przeciwnościom. Strata narzeczonej, która była jedyną istotą w jego życiu, stanowiącą w niem moment jasny, pogodny, dający mu odpoczynek i pokrzepienie, umarła, zostawiając w jego sercu pustkę i smutek. Gdy i matka mu umarła, zostawiając go już całkowicie na własnej opiece, Barcicki miał już swoją własną życiową filozofję. Z matematyczną ścisłością nieomal obliczał swoje przyszłe sukcesy, nakład pracy, jaki był potrzebnny do ich zdobycia, wiedział, że człowiek w pełni jest twórcą swego losu i na nikogo się nie oglądał, licząc tylko na własne siły. Przy tem krystalizowaniu się jego charakteru, dusza jego nabrała hardości, mocy, ale stała się też oschła, zimna, niedostępna silniejszym wzruszeniom. Życie jego biegło z precyzyjnością zegarka, nie było w niem żadnych niespodzianek, nie było też wzruszeń radosnych lub smutnych. Serce zostało pochłonięte przez mózg, pracujący na komendę woli. I jak się zdarza w takich razach, Barcicki zatracił smak życia, odbiegł zupełnie od tego, co ludzie nazywają szczęściem, tworząc je sobie sztucznie, inaczej, na swój sposób. Szczęściem tem był jego wynalazek, a zrealizowanie jego zdawało mu się szczytem marzeń. Wiedział, że gdy pewnego dnia pisma obwieszczą zdumionemu światu wielkie odkrycie Adama Barcickiego, gdy przyrównają go do wielkiego Mendelejewa, Curie-Skłodowskiej, cel jego życia będzie osiągnięty i wszystkie niepowodzenia przeszłości sowicie nagrodzone.

Zajęty swemi myślami, nie zauważył nawet, że w przedziale jego siedziała jakaś przystojna kobieta, która również widocznie pogrążona w myślach obserwowała przez szybę okna okolicę. Wieczór był chłodny: wrzesień to przecież nieraz początek jesieni. Barcicki zamknął okno na korytarzu i wszedł do przedziału.

Chociaż nie był wrażliwym na piękno kobiece i wogóle mało stosunkowo poświęcał uwagi i czasu płci pięknej, to jednak tym razem zafrapował go oryginalny typ towarzyszki podróży. Cała sylwetka zdradzała nie tylko wielkie zalety zewnętrzne, ale również nieprzeciętną, wybitną indywidualność. Dyskretne a niezmiernie miłe i fascynujące perfumy, duże czarne oczy nieznajomej, jakiś nieokreślony czar jej postaci tworzyły obraz, który nawet obojętnego mężczyznę byłby zainteresował. Barcicki, który przez całe życie uważał siebie za jednosktę wybitną i uznawał ludzi tylko na tejże samej wyżynie umysłowej jako godnych swego towarzystwa i zainteresowania, czuł chęć porozmawiania z uroczą nieznajomą. Wkrótce nadarzyła się po temu odpowiednia sposobność. Po chwili gawędzili, jak starzy znajomi, a rozmowa schodziła na tematy bardzo ciekawe i nieraz trudne.

— Taka prosta rzecz a taka dziwna taki pociąg, pędzący w nocy przez uśpione wsie i rosą dyszące pola! — rzekła nieznajoma. Zdaje mi się zawsze, że to jakby los nasz, pędzący ku celowi. A właściwie celu niema, bo gdy się do niego dochodzi, traci się rację bytu...

— Przeciwnie, proszę pani, uważam, że tylko dochodzenie do celu jest warte uwagi. Wtedy dopiero stwierdzamy naszą siłę, zdolność naszych czynów, nasz sukces jednem słowem. Dopiero dojście do celu daje nam pełne poczucia nas samych, bo reszta, wszystkie starania poprzednie, to takie przedwstępne zabiegi, które nie mogą dać nam pełnej satysfakcji. Mnie tylko zyskanie celu daje uczucie siły i wyższości. — Ostatnie słowa Barcicki wyrzekł z pewną emfazą, chociaż nie uczynił tego sztucznie, po aktorsku, lecz zgadzało się to idealnie z jego męską, nieco mało ruchliwą, postacią dojrzałego człowieka, który jeszcze dużo ma w sobie żywotności i bynajmniej z życiowych nie zrezygnował sukcesów. Zawsze, gdy mówił o pracy, o wysiłkach człowieka, które były potrzebne, aby podnieść go na poziom wyższy, aby uczynić z niego jednostkę należącą do wybrańców losu, Barcicki mówił z entuzjazmem, silnie, przekonywująco. Była to przecież jego filozofja życiowa, kwintesencja jego doświadczeń.

Obca towarzyszka podróży uśmiechnęła się drwiąco.

— Przyjdzie chwila, w której pan pożałuje swych wyznań. Zamykając jedną epokę naszego życia, przykładamy też wieko nad grobem, w którym zostały nasze nadzieje.

Kończąc naszą czynność kończymy się też sami, z każdym dokonanym czynem ubywa naszego entuzjazmu, naszych marzeń, naszych oczekiwań.

— Czy pani swą teorję również stosuje do miłości? — pytał Barcicki pierwszy może raz w życu zdobywając się na ton szarmanckiego, zalotnego mężczyzny.

— Bezwzględnie! Miłość to ostatecznie tylko ciekawość poznania poglądów i reakcyj na tę samą nutę u innych osób. Skoro już poznaliśmy je, i skoro nic nowego spodziewać się nie możemy, cały urok pryska. Zostaje realny stan rzeczy, który notujemy w pamięci, ale który bynajmniej nie zdoła nam zastąpić uroczego oczekiwania.

— Jest pani pesymistką i nie pozostawia pani wiele nadziei swym adoratorom! — rzekł, uśmiechając się inżynier. Czy wszystkim odbierała pani tak nadzieje?

— Tym wszystkim, którym dobrze życzyłam!

Rozmowa doszła do punktu, w którym jedynie zgrabny w wyciąganiu wniosków co do psychologji kobiecej mężczyzna mógłby prowadzić ją dalej, nie schodząc z jednej strony na tematy zbyt osobiste, z drugiej zaś utrzymując rozmowę w tonie miłym i swobodnym. Takim jednak causeurem Barcicki nie był. Chociaż towarzyszka podróży podobała mu się niezwykle, to jednak nie chciał dalej brnąć w tego rodzaju rozmowie, nie wiedząc jak z niej wyjść bez uszczerbku dla samego siebie, nie komplikując sytuacji i pozostawiając sprawy na miejscu, w którem były z początku. Silny ten człowiek nie miał giętkości słowa i myśli, jeżeli chodziło o kobiety: były zbyt nierealne, zbyt nieuchwytne, zbyt kapryśne, aby spokojny matematyczny umysł inżyniera mógł podążyć za niemi w labiryncie dziwnej psychologji. Mimo to po raz pierwszy od wielu lat poczuł Barcicki, że poza pracą, poza sukcesami są inne też rzeczy: przedewszystkiem czar kobiety, królestwo, którego nikt z śmiertelników nie zdołał jeszcze zwiedzić we wszystkich jego kierunkach. Zaniepokoił go nieco ten objaw: uważał go za początek upadku jego zdolności zawodowych, za pewnego rodzaju lenistwo myśli, chwytanie się tanich rozrywek i spraw, którym nigdy nie poświęcał zbytniej uwagi. Ale jeszcze raz zdobył się na koncesję wobec samego siebie: był przecież bądź co bądź u progu zwycięstwa, dokonał rzeczy, które pozwalały mu na mały odpoczynek, na przerwę w pracy.

— Należą mi się wakacje! — pomyślał i uśmiechnął się.

Pociąg dojeżdżał do Paryża. Gdy za chwilę stanął na dworcu pełnym ruchliwej, tak typowej dla dworców całego świata, publiczności, gdy usłyszał świst lokomotyw, gdy ogarnął go typowy dla Paryża zapach perfum, kwiatów i tytoniu, gdy stanął w pośrodku tego olbrzymiego miasta, huczącego życiem, falującego tysiącznemi prądami ludzkiej energji, Barcicki pierwszy raz od wielu lat uczuł prawdziwe, szczere wzruszenie. Był u celu! Powrócił do miasta, które opuścił jako biedny, nieznany chemik, ujrzał powtórnie to miasto jako słynny uczony, którego nazwisko, chociaż dla Francuza trudne do wymówienia, rozbrzmiewało w nagłówkach „Matina", „Figara", „Journal'u" i wszystkich innych. Wsiadłszy do taksówki z ciekawością wyglądał przez szybę, chcąc sobie uzmysłowić, jakie zmiany zaszły w olbrzymiem mieście. W hotelu prędko się przebrał i pieszo wyszedł na bulwary. Do porozumienia się z dyrekcją wytwórni chemicznej „Saturne" miał jeszcze kilka godzin czasu. Przez ten krótki jeszcze czas chciał być człowiekiem nieznanym, takim, jak miljony innych, nie nagabywanym przez reporterów, ciekawych, początkujących wynalazców, proszących o wsparcie i rady. Chciał przypomnieć sobie ten Paryż, który znał w tak odmiennych okolicznościach.

Zjadłszy kolację w jednym z wytwornych lokali paryskich, Barcicki miał udać się na posiedzenie dyrekcji wielkiego towarzystwa akcyjnego, które zakupiło jego wynalazek. Wspaniały pałac, mieszczący biura towarzystwa, oświetlony był dwiema łukowemi lampami, których światło wyczarowywało na nim niezwykłe efekty. Wkrótce znalazł się w wielkim gabinecie dyrektora, urządzonym z wytwornym smakiem. Przywitanie Barcickiego było nieomal uroczyste: ludzie, z którymi miał za chwilę zasiąść przy zielonym stoliku zdawali sobie sprawę, z kim mają do czynienia i nie skąpili oznak szacunku i podziwu dla jego głębokiej nauki. Zanim przystąpiono do omawiania konkretnych warunków kontraktu i szczegółów z tem się łączących, dyrektor towarzystwa w krótkiem przemówieniu zwrócił uwagę swym kolegom, że chodzi tu o transakcję nie tylko o wielkiem znaczeniu finansowem, ale też o wynalazek, który na nowe tory skieruje produkcję chemiczną Francji i Polski. Wreszcie przystąpiono do omawiania warunków kupna patentu Barcickiego. Chociaż był on przekonany, że konferencja ta nastręczy wiele trudnych momentów, skoro przystąpią do omawiania ceny kupna, to wkrótce musiał stwierdzić, że był w błędzie: i tym razem porozumienie doszło dosyć prędko do skutku. Transakcja z towarzystwem „Saturne" robiła z Barcickiego naprawdę bogatego człowieka, który od tej chwili nie potrzebował myśleć o stronie finansowej swej egzystencji, mogąc sobie pozwolić nawet na kosztowne podróże, o których marzył jako młodzieniec. Wkrótce po konferencji zjawili się reporterzy znanych pism paryskich, zasypując go gradem pytań, na które z uśmiechem zadowolenia odpowiadał inżynier warszawski. Kilka zdjęć robionych podczas wywiadu dało ludziom prasy dosyć materjału do wieczornego wydania dzienników, które wyrywały sobie tę sensację jako smakowity kąsek dla swych czytelników. Nie skończył jeszcze wywiadów, gdy poproszono go do telefonu. Minister spraw wewnętrznych prosił go osobiście na raut, mający się odbyć następnego dnia, zaznaczając, że będzie mu szczególnie miło uścisnąć dłoń tak wybitnego uczonego, pochodzącego z zaprzyjaźnionej Polski.

— La rosette de commandeur de la Légion ne va pas tarder à arriver! — oświadczył jowialnie prezes towarzystwa, słysząc rozmowę Barcickiego z ministrem.

Jeszcze kilka serdecznych słów zamienionych z członkami dyrekcji, jeszcze uścisk dłoni i Barcicki mógł wkońcu opuścić gościnne progi pałacu.

Nad Paryżem świeciła łuna świateł: monotonny, z tysięcznych głosów składający się szum unosił się nad stolicą. Paryżanie, po całodziennej krętaninie, pracy, troskach, wypoczywali, bawiąc się wedle możności, wedle upodobań i okoliczności. Barcicki stanął na cichej wysepce Pól Elizejskich. — Ogarnął wspaniałą, jedyną na świecie perspektywę ulicy, podkreślonej licznemi sznurami toczących się nieomal bez szelestu aut.

— Cudne miasto! Co za bogactwo, gust, jaki wyczuwa się w niem prąd energji! Jaka radość życia!

Szedł, nie zwracając uwagi na kierunek, rozkoszując się ruchem, światłem, widokiem pięknych kobiet, wspaniałych aut, wesołością panującą na ulicy i tym jesiennym wieczorem, który przystroił stolicę świata w najpowabniejsze uroki. W pewnej chwili zatęsknił za muzyką i postanowił wstąpić do pierwszej lepszej kawiarni czy lokalu restauracyjnego, w którymby spokojnie siedząc mógł obserwować życie paryskie. Wziął taksówkę i kazał się podwieźć ku centrum miasta. Krzykliwe neony zachwalały jakiś lokal o eleganckim wyglądzie. Owiał go rytm jakiegoś amerykańskiego jazzu, otoczył rozedrganemi falami wesołości, fala zmięszanych głosów, starających się jakby przekrzyczeć uderzyła o jego ucho. Usiadł przy stoliku, rozglądając się zaciekawiony po sali. Nie był to lokal, w którym bywała paryska „haute volée", ale był miły, wesoły, gwarny. Obok przy stoliku siedziały dwie przystojne Francuzki, rozmawiając o czemś wesoło i po lewej stronie Barcickiego jakiś młody człowiek zatopiony był w „Timesie", budząc dziwny kontrast z ogólnym ruchem. Sąsiadka jego, piękna brunetka o dziwnie pięknych oczach, zafrapowała go swą urodą. Barcicki poczuł chęć rozmawiania z kimś, podzielenia się swemi wrażeniami, wyspowiadania się nieomal z swych myśli. Przestał już panować nad sobą: jakiś wewnętrzny głos rozgrzeszał go z tych objawów sentymentalizmu, mówił mu, że i jemu należy się jakaś drobna choćby porcja szczęścia za tyle lat pracy, wysiłków i twardej, żelaznej dyscypliny życiowej. Paryż, pełen radości, ogarnął go całkowicie. Było to jakby przyznanie się głodnego człowieka do dręczącego go uczucia, zrezygnowanie z teorji i ułożonego porządku rzeczy dla uszczknięcia najlepszych owoców egzystencji. — Szkoda, że nie wziął kogoś z swych nowych znajomych od „Saturne" — myślał inżynier Barcicki. W oczach stanęła mu towarzyszka podróży. Jakże miło byłoby z nią porozmawiać! Taka inteligentna, urocza, miła! — Z dziwną szybkością począł się w nim budzić głód wrażeń. Już był ciekaw życia tych dwóch nieznajomych mu kobiet, tylko dlatego, że były ładne i wesołe, chociaż nie stanowiły bynajmniej jakiegoś nadzwyczajnego typu urody ani też nie odznaczały się stanowiskiem czy sławą. — Panny biurowe, czy panny z jakiegoś domu konfekcyjnego! — otaksował swoje sąsiadki. Ale coraz baczniej obserwował je, coraz bardziej nęciło go ich towarzystwo. Równocześnie coraz bardziej interesował się tem, co mogło stanowić temat rozmowy obu dziewcząt. Inżynier Barcicki, który nigdy dotychczas nie był skory do nawiązywania przelotnych znajomości a tem mniej nie posiadał cech donżuana, tym razem raz po raz uśmiechał się do swych sąsiadek, starając się zwrócić na siebie uwagę. Chociaż w takich wypadkach, zwłaszcza w Paryżu, nawiązanie znajomości nie stanowi żadnych trudności, to jednak Barcicki zbyt małą miał w tych sprawach wprawę, aby jego zachowanie odniosło pożądany skutek. Czuł poprostu, że jest nieco śmieszny i że zaloty jego tworzą dziwny kontrast z jego dotychczasowem życiem, z jego sławą i całą jego sylwetką. A przy tem zauważył z niekłamaną przykrością, że również jego sąsiadki wyczuwały jego słabe strony. Zwracały teraz na niego uwagę tylko poto, aby bawić się jego kosztem.

Sytuacja stawała się wręcz przykra. Barcicki czuł, że chodzi tu o jego prestiż przed nim samym. Jedna drobna usterka charakteru, jedna śmiesznostka może zaszkodzić nawet wielkiemu człowiekowi, czyniąc z niego pomimo wszystko pocieszną figurę. Trzeba było zdobyć się na coś heroicznego, aby sobie samemu wykazać swoją orjentację życiową.

Ukłonił się obu kobietom i podszedł do ich stolika.

— Jestem w przejeździe w Paryżu i byłbym naprawdę zachwycony, gdybym mógł paniom towarzyszyć i pogawędzić z niemi.

Dziewczęta spojrzały na niego rozweselone i napół ironicznie, napoły zaś uprzejmie wskazały mu krzesło.

Zaczął opowiadać różne mało ciekawe rzeczy, chcąc zyskać na czasie i chcąc wykazać swą inteligencję, swoje obycie w świecie, chcąc nadać sobie wobec nowo poznanych kobiet maskę człowieka ciekawego. Szło mu to opornie i przypominał studenta na pierwszej randce. Obie Francuzki przyjmowały jego słowa i czułe spojrzenia z dużą rezerwą, drwiącą uprzejmością i bawiły się nie z nim, a poprostu nim samym. Na stole zjawiła się butelka dobrego wina i smaczna kolacja. *Dokończenie na str. 31.*



TĘSKNOTA

Ze snów pełnych ciebie
Budzi się dzień
Mojej tęsknoty —
Oczekiwaniem daleki
Dzień...

Senne jeszcze oczy
Tulę do twoich róż
I witam słońca cud
Poprzez płatki szeptanym
„Dzieńdobry".

Mijają dnia godziny
Długie jak czas
Tęsknota wgłąb serca się kryje
I cichutko łka.

A gdy ostatnie promienie słońca
Odchodzą w dal powoli,
Płatki róż oczami pieszczę sennie
I nadchodzi
Pełna marzeń o tobie
Noc —

PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XVII.



Ćwiczenie pierwsze.

Dzisiejsze ćwiczenie ma na celu uelastycznienie pleców i ramion. W błędzie są bowiem kobiety, które twierdzą, że mają dosyć ruchu i gimnastyki przy zajęciach domowych, lub udając się na codzienną przechadzkę. Ruch na powietrzu jest wprawdzie bardzo wskazany i higjeniczny, lecz musimy wziąć pod uwagę i to, że chodzenie uruchamia i absorbuje zawsze te same mięśnie i stawy. Sprawność naszego ciała wymaga jednak, abyśmy potęgowali nasilenie funkcyj mięśni i nakładali im coraz to nowe i trudniejsze zadania.

Ćwiczenie I. Stajemy wyprostowani przed otwartem oknem, wyprężamy ramiona, przykładamy dłoń do dłoni i uginamy górną część korpusu silnie w bok, aby partja bioder aż do czubków palców rąk tworzyła harmonijnie zaokrąglony łuk. Następnie zwolna, wyprężając ciągle ramiona i dłonie, pochylamy się wyprężonym ruchem w przeciwną stronę. Ten wahadłowy ruch tułowia od bioder ku górze powtarzamy 8 razy.

Ćwiczenie II. Stajemy silnie na rozkraczonych nogach, wyprężamy ręce wtył i splatamy dłonie, usiłując wykonać ruch wahadłowy splecionemi, wyprężonemi ramionami. Ruch ten sięgać ma ku górze aż do głowy, którą coraz bardziej pochylamy wraz z górną partją korpusu aż do prawego lub lewego kolana. Tego rodzaju zgięcie powtarzamy 5 razy, następnie stajemy prosto, wyciągamy się w górę mocno aż do czubków palców stóp, a gdy wreszcie osiągnęliśmy najwyższe wzniesienie się, opuszczamy ciało swobodnie. Ćwiczenie to jest trudne — napewno jednak uda się przy odpowiednim wysiłku!



Ćwiczenie drugie.

KĄCIK PANI DOMU

PRZEPISY NA JESIEŃ

Sałata z pomidorów.

Średniej wielkości pomidory pokrajać w talarki, ułożyć na talerzu, posolić, opieprzyć do smaku, posypać jeśli kto lubi po wierzchu surową, posiekaną cebulką, skropić dobrze cytryną i postawić w zimnie na jedną godzinę.

Marmolada ze śliwek.

Śliwki węgierki sparzyć ukropem, zdjąć skórkę, odrzucić pestki i gotować bez wody, najlepiej w kamiennym garnku, licząc na jedno kilo owocu dwadzieścia deka cukru. Mieszać często by się marmolada nie przypaliła. Gdy dosyć gęsta składać ciepłą do słoików lub do jednego większego garnka kamiennego i gdy ostygnie, wiązać papierem pergaminowym. Marmolada ta szczególnie zdrowa jest dla dzieci.

Placek drożdżowy z śliwkami.

Rozczyńć zwykłe ciasto drożdżowe, a gdy wyrośnie rozwałkować, posmarować po wierzchu rozbitem jajkiem i układać w niewielkich odstępach skórką do spodu przekrojone na pół śliwki węgierki. Kiedy placek wyrośnie wstawić do gorącego pieca. Przed wydaniem posypać placek cukrem miałkim i pokrajać w niewielkie kwadraty.

Placek kruchy z śliwkami.

Bez porównania jest lepszy placek robiony następującym sposobem: 6 deka cukru, 12 deka masła, 24 deka mąki, jedno całe jajo, jedna łyżka śmietany. Zarobić ciasto na stolnicy, rozwałkować, ułożyć śliwki jak wyżej i piec.

Kiszenie ogórków na zimę.

Beczułkę dębową dzień przedtem kilkakrotnie wyparzyć, ogórki zebrać zielone, bez plam, opłókać w zimnej wodzie. Na spód beczki dać wiązkę kopru, parę główek czosnku i kilka kawałków chrzanu ostruganego, potem układać ogórki i znowu zamknąć wierzch wiązką kopru z dodatkiem czosnku i chrzanu. Tak ułożone ogórki zalać przegotowaną zimną wodą z solą, licząc 25 dkg soli na jedną kopę ogórków, i zostawić beczułkę w piwnicy. Po paru dniach nalać przegotowanej wody do pełna, zaszpuntować beczkę i zalać smołą lub cementem.

Kto niema beczki, może śmiało zakisić ogórki w drewnianym szafliku, a na wierzch dać denko drewniane i kamień, trzymają się doskonale.

Ogórki kiszone na prędkie użycie.

Najlepiej jest kisić w szklannym słoju, a nie w kamiennym garnku, bo w tym ostatnim psują się prędzej. Spód słoja wyłożyć wiązką świeżego kopru, młode nieduże ogórki obmyć w zimnej wodzie i układać szczelnie w słoju; na sam wierzch dodać parę ząbków czosnku i wiązkę kopru i zalać zimną osoloną wodą, licząc na jeden litr wody jedną łyżkę od zupy soli.

Słój otwarty zostawić w kuchni, a po kilku dniach, gdy ogórki będą już ukiszone, wynieść słój do piwnicy.

Knedle z śliwkami.

Mąki 25 deka i jedno jajko zarobić z mlekiem lub wodą, na wolne ciasto tak jak na pierogi. Rozwałkować cienko, wykrajać foremką okrągłe placuszki, i w każdy zawijać jedną śliwkę, dobrze ciastem oblepiając. Gotować w wrzącej wodzie parę minut, póki nie wypłyną na wierzch, wtedy wyjąć łyżką durszlakową i polać masłem (5 deka) przyrumienionem z bułeczką. Z tej proporcji, z śliwek małych nie węgierek, jest około 50 sztuk knedli.

Jolanta Ledóchowska.

Hachee z cielęciny i drobiu.

Pozostałe resztki pieczeni cielęcej i pieczonych kurcząt można zużytkować na smaczną potrawę. Zemleć je lub usiekać z bułką, wymoczoną w mleku. Osobno zrobić białą zasmażkę z łyżki masła i mąki, rozprowadzić ją rosołem, rozmieszać z przygotowanem mięsem i dusić na wolnym ogniu. Teraz zaprawia się potrawę przetartemi jarzynkami, jakie w danym okresie są dostępne, a więc zielonym groszkiem, pomidorami, marchewką lub grzybkami. Jarzynki przyrządza się osobno, dusząc z masłem i przecierając przez sitko. Zależnie od ilości siekanego mięsa, daje się kilka łyżek takiej przetartej masy, czy też grzybków i doprawia się wreszcie całość kilkoma łyżkami śmietany. Wydając, umieszcza się hachée kopiato na środku półmiska, otaczając wokoło ryżem, ugotowanym na sypko, który można zaprawić w połowie marmoladą pomidorową, gdyż bardzo efektownie wygląda półmisek, gdy ryż ułożony jest dwoma kolorami białym i różowym.

(H-a)

ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

★ ★ ★

Płaszcze na jesień.

Gdy zaczniemy od płaszcza...

PŁASZCZ:	UBRANIE:	KOSZULA:	KRAWAT:	BUCIKI:	KAPELUSZ:
● Granatowe palto	1. popielate 2. granatowe 3. brązowe	niebieska biała piaskowa	granatowy czerwony c. havana	czarne szkot. czarne gładkie c. brązowe	popielaty melon brązowy
● Popielata zarzutka	1. popielate 2. granatowe 3. czarne	biała popielata biała	czarny granatowy czarny	czarne	czarny granatowy melon
● Szary ulster	1. popielate 2. zielone 3. brązowe	zielona niebieska beige	czerwony zielony czerwony	c. brązowe brązowe c. brązowe	zielony popielaty brązowy
● Zielony slipon	1. popielate 2. zielone 3. brązowe	rezeda popielata beige	szkocki zielony czerwony	brązowe szkot. brązowe c. brązowe	popielaty zielony brązowy

Płaszcze na sezon jesienny niewiele różnią się swym fasonem od analogicznych kreacyj wiosennych. Ważnym, a nawet decydującym staje się w tym okresie wybór odpowiedniego materjału i to w zakresie grubości, gatunku, jak i barwy tkaniny.

Zanim damy sobie wmówić przez krawca, że najkorzystniej jest nam „do twarzy" np. w brązowym ulstrze z lekko zaznaczoną talją przy zgrabnym dragonie, lub granatowem palcie dwurzędowem, — musimy się dobrze zastanowić nad tem, jaki właściwie płaszcz jest nam potrzebny i czy harmonizuje on zasadniczo z ubraniami, które wiszą w naszej szafie. Ten ostatni postulat zadecyduje o wyborze koloru materjału, co bynajmniej nie należy do rzeczy łatwych. Zamieszczona wyżej tabelka, którą łacno można w tym lub owym kierunku zmodyfikować, posłuży niejednemu za „drogowskaz" w labiryncie zawiłych problemów harmonji barw. Wyczerpawszy ten temat, przejdźmy do gatunków i wzorów materjałów, najodpowiedniejszych na płaszcze jesienne.

Podobnie, jak w modzie damskiej, sezon jesienny podzielimy na dwa okresy: wczesno- i późno-jesienny. W pierwszym zastosujemy zarzutki (t. zw. jesionki — fasony: raglan, slipon) o lżejszym charakterze, a więc i materjał będzie tu cieńszy. Specjalnie tkane szewioty (Chesterfield), o wzorze fishgreat lub w ukośne prążki, nadadzą najwłaściwszy ton naszemu exterieur. W drugim okresie każemy uszyć sobie ulster z grubej czesanki, której wzór może być bardzo różnorodny, zależnie od tego, czy zechcemy zaakcentować charakter bardziej sportowy, czy też ograniczymy się do pośredniej formy miastowej. Dla „konserwatystów" pozostaje do noszenia w mieście klasyczne palto (ostatnio najczęściej dwurzędowe, w kolorze granatowym).

BRUMMEL.



Poniżej w środku: Model eleganckiego dwurzędowego palta.

Powyżej na lewo: Jednorzędowa zarzutka jesienna z krytemi guzikami (materjał o wzorze fish-great).

Powyżej na prawo Jedna z odmian ulstra z dragonem.

MAQUILLAGE
W ŻYCIU I NA SCENIE

Puder, róż, pomadka na wargi, krem, tusz lub kredka do oprawy oczu... Czyż można wyobrazić sobie toaletę eleganckiej pani, mającej pretensje do korzystnego wyglądu, bez tych nieodłącznych dzisiaj rekwizytów urody? Tylko czy kosmetyki zawsze służą do celu, t. zn. czy istotnie nadają twarzy wygląd świeży i estetyczny? Tak jest — ale należy umieć się niemi posługiwać.

Prawda ta unaocznia się najlepiej i najwyraziściej na ekranie i na scenie. Niedawno byłam świadkiem tego rodzaju rozmowy na widowni teatru podczas pauzy:

— Spójrz tylko na panią X.! Taka świetna aktorka, a nie umie się charakteryzować. Wygląda na scenie uszminkowana jak „na życie".

Uwaga ta nasunęła mi natychmiast spostrzeżenie, że rozmawiają o koleżance dwie aktorki, widocznie świeżo zaangażowane, bo ich nie znałam.





Powyżej: Ginger Rogers wzmacnia kolor swych ponętnych ust.

Na lewo: Olivia de Havilland masuje twarz z pomocą kremu.

Poniżej: Madelaine Carroll nakłada róż na policzki.



— Masz rację — odparła druga — X wygląda jeszcze gorzej niż na ulicy. Przecież powinna mieć na tyle rutyny, aby wiedzieć, że scena wymaga zupełnie innego zastosowania kosmetyków, jak dzień powszedni!

Tak, to prawda. Aktorka, o której była mowa, prezentowała się istotnie lepiej na ulicy czy w kawiarni niż na scenie. Zapomina widocznie, że światła kinkietów są surowym sędzią i konieczne jest używanie różu, pudru, kredki do oczu i pomadki na wargi z wielką umiejętnością odmładzania się i upiększania na scenie.

Lecz i na codzień należy umieć się posługiwać kosmetykami. Ileż razy słyszy się ze strony dobrze ubierających się eleganckich pań takie powiedzenie:

— Pani używa kremu pod puder? Ja nie mogę, bo mam zbyt tłustą cerę.

Pogląd z gruntu fałszywy. Chorobliwie tłusta cera wymaga leczenia i to często właśnie leczenia natłuszczaniem. Nieracjonalnie funkcjonujące gruczołki tłuszczowe wydają łój podskórny nadmiernie obficie, a rozmieszczony na skórze twarzy puder wchłania go i tem samem wysusza skórę, pobudzając gruczołki do intensywniejszego działania. Natomiast warstwa dobrego, odżywczego kremu nie tylko odgradza skórę od pudru, ale stanowi estetyczny podkład kosmetyczny. Rzecz zrozumiała, że nadmierna ilość kremu wymaga większej ilości pudru i tem samem zamienia twarz w sztuczną maskę. Jest to wskazane na scenę, gdzie gruba warstwa szminki musi zakrywać wszystkie usterki cery, i stanowi dobry podkład pod suchy róż, lecz przy świetle dziennem wygląda szkaradnie.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że zarysowywanie ust pomadką jest kwestją zdolności rysunkowych. Jak często widuje się panie z wargami niekształtnie wymalowanemi, tworzącemi nieforemną plamę. Należy pamiętać o tem, że pomadka na wargi nietylko przydaje ustom estetycznej i powabnej czerwieni, ale także powinna tuszować kształt w miarę potrzeby.

Mniejwięcej to samo rzec można o różu na policzkach. Rutynowane kosmetyczki wiedzą, że odpowiednio rozmieszczony róż może twarz wypełniać lub wyszczuplać. Zależy to od tego, czy różowe plamy umieścimy tuż pod oczami lub czy rozprowadzimy je bardziej na boki twarzy. Aktorki o zbyt pełnych policzkach, deformujących owal i postarzających twarz, wiedzą o tem i dlatego rozmieszczają róż bardziej na boki.

Jakże ważny rekwizyt urody stanowi kredka do oczu! Nie jest tajemnicą kosmetyczną, jakiego blasku i wyrazu dodaje oku sino-liljowa powłoka na górnej powiece dla kobiet o jasnych oczach, popielato-czarna dla brunetek o czarnych źrenicach. Golenie, względnie wyskubywanie brwi ma cel nietylko estetyczny, ale i psychologiczny. Wiemy, że szerokie, nastroszone brwi są oznaką lat dojrzałych, nadają twarzy wyraz „jędzowaty", groźny i ponury. Brew cienka, jedwabista, wydelikaca twarz i nadaje jej urok młodzieńczo-dziecinny, podobnie jak i gęste, odwinięte rzęsy. Efekty te wzmacnia umiejętne zastosowanie tuszu i ołówka.

Mary.

ZDJĘCIA FOT. M. LORANT — LONDYN.

Miliony kobiet zazdrości
PIĘCIORACZKOM KANADYJSKIM
pięknej cery...



"Po przyjściu na świat i przez pewien czas potem, Pięcioraczki kanadyjskie kąpane były w olejku oliwkowym... Z chwilą, gdy można je było kąpać w wodzie z mydłem, wybraliśmy wyłącznie mydło Palmolive do codziennej kąpieli tych sławnych w całym świecie dzieci."

Dr. Allan Roy Dafoe

... pielęgnowanej mydłem Palmolive.

W JAKI sposób słynne Pięcioraczki zachowują swą delikatną, promienną cerę? Oczywiście, tak samo, jak tę piękną cerę zdobyły. Pierwsze krytyczne miesiące ich życia stały się podstawą ich późniejszej piękności. Kąpano je wtedy codziennie w czystym olejku oliwkowym, ponieważ lekarze-specjaliści nie odważyli się użyć niczego mniej kosztownego dla ich delikatnych ciałek.

A obecnie, gdy są to już duże, przeszło trzyletnie dziewczynki, czyż mogą one otrzymać lepszy zabieg kosmetyczny, aniżeli mydło na olejku oliwkowym... właśnie mydło Palmolive. Dlaczego i Pani nie ma iść za ich przykładem, aby zapewnić sobie również cudowną cerę przez zabieg, zalecany Pięcioraczkom przez Dr. Dafoe.

Żadnych tłuszczów zwierzęcych — żadnych sztucznych barwników! Jedynie cenne oleje roślinne są używane do mydła Palmolive.

Uzyskasz piękną cerę stosując oryginalne mydło Palmolive do twarzy i kąpieli. Nie daj się przekonać do kupna tańszych mydeł niepewnego gatunku.

Dla utrzymania pięknej cery używajcie tego idealnego mydła wybranego dla Pięcioraczków.



P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

MUSZTARDA POMIDOROWA. Podawaliśmy parę przepisów tego doskonałego dodatku do mięs lub do ubierania kanapek (tartynek), wszystkie były bardzo ostre. Dzisiaj podajemy przepis na odmianę trochę łagodniejszą: nawet artretykom, będącym na ścisłej diecie, możemy ją dać skosztować. — Przepis brzmi: 2 kg pomidorów wymyć, połamać w ręku bez użycia noża wprost do grubego rądla, dodać dużą białą cebulę i rozgotować, nie dolewając wody. Po przefasowaniu przez włosiane sito dodaje się: 15 dkg cukru, pół szklanki musztardy, pół szklanki prawdziwego winnego octu, po pół łyżeczki soli, pieprzu i imbieru. Wymieszaną masę gotuje się powoli tak długo, aż dobrze zgęstnieje, poczem na gorąco napełnia się nią małe słoiki, owiązuje zaraz i stawia w chłodne a ciemne miejsce. Raz rozpoczęty słoik musi być zużyty w przeciągu 2—3 dni, gdyż dostęp powietrza powoduje psucie się konserwy, dlatego celowem będzie użycie małych porcjowych słoików.

BAKŁAŻANY piękne, fioletowego koloru owoce (raczej jarzyna), mało są u nas znane, lecz ukazują się coraz częściej na straganach jarzyniarek. Należałoby je przyjąć na nasze jadłospisy — dają urozmaicenie, a umiejętnie przyrządzone są bardzo smaczne, smakiem przypominają trochę białą rybę, trochę młode grzybki. Warto spróbować. Oto przepis: **Bakłażan smażony:** Obrany z łupki kraje się bakłażan wzdłuż lub poprzecznie w półcentymetrowe płatki, posypuje troszkę solą, przykrywa talerzem i obciąża. Po 30 minutach odlewa się wytworzony sok, obsusza plasterki na serwecie, macza je następnie w rozkłóconem jajku, osypuje bułeczką zmieszaną z mąką i smaży pływająco w rozpalonem maśle. Również maczane w lanem cieście i następnie smażone są doskonałe.

BAKŁAŻANY FASZEROWANE MIĘSEM. Ołupane i wydrążone bakłażany gotuje się przez 10 minut w słonej wodzie, następnie wyjmuje i zanurza do zimnej wody na kwadrans. Obsuszone serwetką napełnia się mielonem mięsem cielęcem z dodatkiem siekanego tłuszczu od szynki, jajka i moczonej w mleku bułki. Nadzianka musi być dobrą chwilę ucierana, aby spulchniała i w trakcie duszenia narastała. Napełnione bakłażany układa się na maśle w ryneczce i dusi pod przykrywą lub wstawia do gorącego piecyka na pół godziny. Jako dodatek do tej jarzyny nadaje się ryż gotowany na sypko z zielonym groszkiem.

W POŁĄCZENIU Z POMIDORAMI mamy następujący przepis francuski: 3 bakłażany ołupuje się, przekrawa i wyskrobuje ziarnka. Tak samo postępuje się z równą ilością pomidorów. Na brytwance rozpala się łyżkę masła z dwoma ząbkami czosnku, wkłada przygotowaną jarzynę i szybko z obu stron opieka, poczem czosnek się odrzuca, zaś resztę układa się na ogniotrwałej salaterce posypuje solą i białym pieprzem, podlewa rosołem i piecze w piecyku pod przykrywą. Pod koniec posypuje się potrawę tartym parmezanem, zmieszanym z tartą bułeczką, polewa masłem i zapieka w piecyku nieprzykryte, przez 5 minut, tj. aż się na potrawie utworzy krucha skórka. Jako dodatek ryż lub włoski makaron.

DZIKA KACZKA LUB KUROPATWA DUSZONA. Dzikie ptactwo powinno wisieć na powietrzu nie dłużej niż 2—3 dni po odstrzale. Wisząc dłużej nabierają ostrego zapachu. Oczyszczone z pierza i osmalone nad płomieniem, patroszy się je, szybko wymywa, obsusza i nasala. Po paru godzinach opłukuje się je z soli i szpikuje gęsto słoninką. Dno brytwanki nakłada się grubszemi płatkami tłustej szynki, posypuje siekaną cebulką i krajanemi drobno jarzynkami, dodaje listek bobkowy oraz trochę jałowca, układa na tem przygotowane ptaki, podlewa rosołem i białem winem, przykrywa i dusi powoli. Pod koniec dodaje się do sosu parę cienko pokrajanych płatków ciemnego chleba i dodusza do miękkości. Wyjęte kraje się ptaki na części, z sosu zaś zdejmuje się tłuszcz, resztę fasuje się przez sito, podprawia śmietaną i podaje osobno w sosjerce. Jako dodatek podać można ryż na sypko, makaron lub czerwoną kapustę i ziemniaczki.

JABŁKA Z KONFITURAMI. Średniej wielkości jabłka ołupuje się, wydrąża odpowiednim nożykiem i kładzie w wydrążenie łyżeczkę wiśniowej marmolady. Jabłka piecze się na brytwance posmarowanej masłem. Niedopieczone jeszcze zupełnie, zdejmuje się łopateczką z brytwanki i układa na ogniotrwałej płytce, przybiera każde jabłko czapeczką merengową (piana ubita z cukrem) na sam czubek daje się smażoną wiśnię i wstawia jabłka do gorącego piecyka na kilka minut, aż pianka uschnie i nabierze koloru.

MARMOLADA MIESZANA. Po jednym kilogramie jabłek, gruszek, śliwek i pomidorów wymywa się, kraje w kawałki i rozgotowuje przy pilnem mieszaniu w grubym rądlu. O ile możności nie należy dolewać wody. Rozgotowane owoce fasuje się przez włosiane sito, dodaje 1 kg cukru i gotuje tak długo, aż kropla spuszczona na talerzyk stężeje po ostudzeniu. Gorącą marmoladę nalewa się do słoja i zawiązuje po ostudzeniu.

Sc. Ko.

K U C H N I A
W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Podajemy sposób smacznego i wykwintnego przyrządzania śliwek i moreli: Przekrajane owoce moczy się wieczorem w wodzie, którą się nazajutrz odlewa. Syropem cukrowym powleka się owoce i ozdabia orzechami i migdałami. Tak przyrządzone można długo konserwować jako kandyzowane.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 38	**Wrzesień** — 30 dni
NIEDZIELA **12** Gwidona	Zupa z drobiu. Sztuka mięsa z musztardą pomidorową. Gęś pieczona z duszoną kapustą i ziemniaczkami. Budyń czekoladowy z bitą śmietaną. Kolacja: Zimny drób z sałatką jarzynową.
PONIEDZ. **13** Tobjasza	Barszczyk czysty z uszkami. Rizotto na podróbkach z gęsi. Gigot z baraniny z marchewką. Jabłka z konfiturami. Kolacja: Bakłażany smażone z ryżem.
WTOREK **14** Podwyż. ś. Krz.	Pomidorówka na rosole z kluseczkami. Hachée z mięsa rosołowego z szpinakiem. Dzika kaczka z buraczkami. Naleśniki z mieszaną marmoladą. Kolacja: Grzybki z jajami.
ŚRODA **15** Nikodema † S dn.	Zupa jarzynowa puree z grzankami. Bakłażany faszerowane mięsem. Paprykarz cielęcy z francuskiemi kluseczkami. Ciasto wiedeńskie z śliwkami. Kolacja: Pasztet z kwiczołów lub zajęczy.
CZWARTEK **16** Ludmiły	Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Kruszka cielęce w sosie z knedelkiem bułkowym. Kotlety wieprzowe z kapustą parzonką. Gruszki z kremem. Kolacja: Bukiet jarzynowy.
PIĄTEK **17** Lamberta † S. dn.	Zupa owocowa z grzankami. Kotlety jarzynowe z sosem grzybowym. Karp na niebiesko z siekanem jajem. Strudel z jabłkami. Kolacja: Omlety z grzybami.
SOBOTA **18** Tomasza † S. dn.	Rosół z lanym makaronem. Sztuka mięsa z sosem ostrym "à la diable". Kuropatwa w śmietanie z makaronem. Kompot mieszany. Kolacja: Kasza hreczana z kefirem.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z Nru 36-go.

ANTEK I BOLEK.

Antek miał 7 zł, a Bolek 3 zł i 50 gr.

MOTOCYKLIŚCI.

W chwili, gdy pierwszy motocyklista dojechał do B, drugi znajdował się od A w odległości 5/6 km.

NAZWY ZWIERZĄT.

Liczba 1 2 3 4 2 oznacza „małpa"; 4 5 1 2 — „puma"; 7 2 1 2 — „lama"; 8 5 9 — „tur"; 7 2 1 4 2 9 8 — „lampart"; 8 5 1 2 0 — „tumak".

PORTRET.

Portret przedstawia córkę pana Wróbla.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

EGZAMIN.

Ania, Basia, Cesia, Dorotka i Ewa zdawały egzamin. Każda z dziewcząt zdawała z pięciu przedmiotów: z polskiego, historji, łaciny, francuskiego i matematyki. Dziewczynka, która najlepiej zdała z danego przedmiotu, otrzymała piątkę; ta, która była na drugiem miejscu (również z danego przedmiotu), dostawała czwórkę i t. d. Jednak ostateczna klasyfikacja zależała od sumy stopni ze wszystkich pięciu przedmiotów.

Suma stopni Ani, która dobrze zdała egzamin, wynosi 24. Cesia otrzymała te same stopnie z czterech przedmiotów. Ewa najlepiej ze wszystkich zdała z francuskiego, z matematyki była trzecia. Jaki stopień z francuskiego otrzymała Basia?

URODZINY.

Ania urodziła się w marcu, piętnaście dni wcześniej niż Bolek. Urodziny Klary są o 23 dni wcześniej od urodzin Dorotki, a o 24 dni później od urodzin Bolka. Dorotka urodziła się w czerwcu. Czy można podać daty urodzin (tylko dnie i miesiące, bez wskazywania roku) Ani, Bolka, Klary i Dorotki?

PLAMA NA PRZESZŁOŚCI.



— Czy świadek był kiedy karany?
— Tak jest, panie sędzio, jeden raz za nieprawidłowe przejście jezdni.

Rys. Charlie.

WĘDRÓWKA PIELGRZYMA.



Rysunek przedstawia schematyczny plan kraju z sześćdziesięcioma czterema miastami i łączącemi je drogami. Pielgrzym wyjaśnił, że wędrówkę swą zaczął od wielkiego czarnego miasta i odwiedził każde miasto jeden raz w piętnastu linjach prostych. — Jak wygląda droga pielgrzyma, jeśli określony jest tylko początek wędrówki, koniec zaś dowolny.

———o———

NASZE DROGI.

Rzekł autobus do konia, fucząc głośno niby czajnik:
„Gdy ja jadę w drogę, możesz sobie leżeć w stajni".
W chwilę później do auta leżącego w rowie
Tak mały konik szyderczo odpowie:
„Jeśli polską jedziesz drogą,
Lepsze cztery nogi, niż koła niebogo!"

W. H.

Dokończenie ze str. 2.

Na wolności przebywa gromadnie w spokojnych zatokach rzecznych, wśród sitowia i roślin podwodnych. Jest zwierzęciem bardzo płochliwem, co zaobserwować można i na okazach trzymanych w niewoli.

Wielkość tej rybki wynosi 15—18 cm, a rozpiętość płetw dochodzi do 30 cm. Dominującą barwą jest srebrzysto-żółta z odcieniem niebieskawym. W promieniach słońca mieni się ryba księżycowa wszystkiemi barwami tęczy. Niezmiernie charakterystyczne są jej płetwy wydłużone w długie nitki. Promienie środkowe płetw nieparzystych są bardzo długie, boczne zaś stopniowo coraz krótsze, dzięki czemu przybierają kształt półksiężyca, skąd i nazwa ryb księżycowych. Ciemne pasy, biegnące w poprzek ciała czynią tę rybę trudną do zauważenia zwłaszcza, gdy przebywa wśród roślinności podwodnej. Zależnie od stanu podniecenia ryby pasy te występują ostro i wyraźnie lub też zanikają. Niezwykła ich postać stanowi pewną ochronę przed nieprzyjaciółmi, dla których połknięcie tak wysokiej ryby nie jest łatwe.

Ryba księżycowa lubi czystą klarowną wodę i dosyć dużo przestrzeni. Ikrę składa na gałązkach roślin podwodnych, strzegąc jej i broniąc przed wrogiem. Młody narybek, który hodowcy karmią małymi oczlikami i rozwielitkami, przybiera po upływie paru tygodni postać rodzicielską. Całemi gromadkami uganiają młode rybki księżycowe za żywym pokarmem, w nocy spoczywają na dnie w jednej gromadce. Widok majestatycznie płynących na tle zielonej roślinności tęczowych rybek księżycowych jest przepiękny i wzbudza nieraz niekłamane okrzyki zachwytu oglądających. Na wystawie akwarjów, która obecnie została otwartą w Warszawie, największej zwiedzających grupuje się właśnie przed rybami księżycowemi. Mimo trudnej hodowli można otrzymywać w niewoli młode i niejednemu z polskich miłośników akwarjów udało się otrzymać i paręset sztuk okazów młodych rybek księżycowych.

Ryba księżycowa przywieziona została z południowej Ameryki dopiero w r. 1911 i z wielkim entuzjazmem została powitana przez miłośników akwarjów. Podobną do niej jest t. zw. mała ryba księżycowa (Pterophyllum eimekëi), przywieziona do Europy dopiero w r. 1924. **Dr. Z. M.**

Dokończenie ze str. 8-ej.

mował stanowisko przodujące, wytworzyła sztukę, która dopiero z biegiem czasu, w niektórych środowiskach prowincjonalnych przynajmniej, przyjmuje cechy odrębne, „rodzime", lecz także tylko w postaci lokalnego konserwatywizmu lub przez wprowadzenie lokalnych typów i strojów. Mówimy zatem o „szkole sądeckiej", o „szkole krakowskiej", o „gotyku wielkopolskim" i „kujawsko-pomorskim", nie mając jeszcze dostatecznie pewnych norm do takiej klasyfikacji, która runie z chwilą ujawnienia nowych faktów jeszcze ukrytych w aktach urzędów parafjalnych i innych archiwaljach. Do nich należą m. in. dowody, że niektóre zabytki wcale nie powstały w tem środowisku, w którem obecnie się znajdują, oraz fakt, że artyści gotyccy często zmieniali miejsce zamieszkania. Największą jednak trudność w dociekaniach tych sprawia niemożność orjentowania się w specyficznem dla sztuki późnogotyckiej zjawisku „kolaboracji warsztatowej".

Dokończenie ze str. 24.

W pewnej chwili inżynier Barcicki zauważył, że brunetka przypatruje się jednemu młodemu człowiekowi, który w większem towarzystwie siedział opodal. Właśnie muzyka poczęła grać jakieś tango. Młody człowiek wstał od swego stolika, podszedł do Barcickiego, ukłonił się i poprosił przygodną towarzyszkę uczonego do tańca. — Wkrótce zginęli w tłumie tańczących, przylgnąwszy do siebie i patrząc sobie w oczy.

Barcicki z zmrużonemi oczyma, jakby je raziło silne światło, przypatrywał się całej scenie. Tańczący stanowili w tej chwili jakby jakieś cienie, przesuwające się na tle czerwonych murów dancingu. Egzotyczne twarze murzynów, żółta cera dziewcząt z Indochin, wymalowane twarzyczki Paryżanek, a przy każdej z nich mniej lub więcej przystojna twarz męska. I wszystkie te pary, kołysane banalną, zwykłą, ale w danej chwili upojną muzyką, płynęły. Zdawało się, w dal. Każdy krok zbliżał je do krainy szczęśliwości.

Po dłuższej dopiero chwili Barcicki przypomnał sobie, że przecież przy stoliku jego siedzi jeszcze druga, jego znajoma, do której ust nie otworzył. Odwrócił się w jej stronę, by coś powiedzieć. Oczy blondynki rozmawiały z innym. Był to wysoki, szczupły, po sportowemu ubrany młody człowiek, palący nonszalancko fajeczkę angielską.

Barcicki uczuł silny skurcz w sercu. Coś go zabolało, jakby to była rzecz wielka, zasadnicza. Ona również nie zwracała na niego uwagi! Ogarnęła go złość, która byłaby sobie ulżyła silnem przekleństwem, czy okrzykiem bólu. Ale pohamował się.

— Jestem sławny, moje nazwisko jest w każdem piśmie francuskiem! Mam majątek! Nie jestem jeszcze stary! — wyliczał argumenty swej przewagi.

— Prawda, jakie ładne to tango? — zapytała nagle jego towarzyszka. Jakie sentymentalne, jakie upojne! — recytowała tanie zachwyty dziewcząt, które w dancingach dokształcają swoją duszę. To skomponował wielki muzyk. Nazywa się „Przechodzę obok życia!"

— Przechodzę obok życia! — powtórzył jak echo inżynier Adam Barcicki, wielki wynalazca, który następnego dnia miał otrzymać komandorję Legji Honorowej.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

„NIESPODZIANKI MAŁŻEŃSTWA" EUG. KOBYLIŃSKIEJ. Zaczyna się od dziejów pozornie zakochanego a w istocie niedobranego małżeństwa Wacława Felińskiego z Danką, która jest typem jakiejś afektowanej istoty; jej listy do diotki, pełne osobistych wynurzeń, wprost płoną od afektacji. Zresztą i dziecia poczyna sobie podobnie: „Moja Sieroteńko. Moja Danutko z mądremi oczyma!-" — Z czasem nastąpi przewekslowanie uczuć: Feliński wróci do swej pierwszej żony a Danuta pójdzie za Jerzym. Że Feliński wraca do żony, to jest łatwiej zrozumiałe: ich rozejście było raczej porywcze i nie oparte na poważnych motywach, ale dlaczego Danka woli Jerzego? — Jerzy „jest jak słońce" — objaśnia autorka. Jak widzimy, p. Kobylińska posiada wyraźną skłonność do metaforyki i grandilokwencji. Nie można zanadto przycisnąć do muru jej „Niespodzianek małżeńskich'!" — zostaje z nich bowiem ot taka kolorowa nietrwała... pianka, że posłużymy się tu zwrotem metaforycznym. — Czyta się to lekko, zwłaszcza o ile ma się miękką poduszkę do podłożenia pod głowę.

NA SCENIE.

KRAKÓW. Na deskach teatru im. Słowackiego gościli przez kilka dni artyści warszawscy: Janina Romanówna i Marjusz Maszyński, występując w nowej sztuce Antoniego Cwojdzińskiego p. t.: **„Freuda teorja snów"**.

Wspominaliśmy już o tym utworze z racji jego warszawskiej premjery. Trzeba przyznać, że autor wytrzymał narzuconą sobie próbę bez zarzutu: wprowadza na scenę tylko dwie osoby i każe im grać rolę „pacjentów", leczących się metodą Freuda. Otóż „zabieg" ten nie jest ani trochę nużący. Cwojdziński umie mówić o kwestjach naukowych lekko i z humorem. Zresztą metoda Freuda ze swoją interpretacją snów — daje pole złośliwych zestawień i porównań. Trzeba też pary takich świetnych artystów, jak Romanówna i Maszyński, ażeby wydobyć z inteligentnego dialogu Cwojdzińskiego całą jego „koronkowość.

BYDGOSZCZ. Nowy sezon rozpoczął teatr miejski, wystawiając komedję Żermeny i Alberta Acrémenta p. t.: **„Arleta i zielone pudla"**. Ta autorska para małżeńska opowiada historję staropanieństwa. Rzecz dzieje się w prowincjonalnej dziurze francuskiej, gdzie wegetują cztery stare panny, siostry, zapełniające surowemi regułami monotonję życia. Pomiędzy te „pudła" wpada młoda i urodziwa Paryżanka; następuje starcie odmiennych poglądów, wkońcu Arleta pociągnie jedną ze sióstr za sobą do Paryża, wyrywając ją następnie ze stanu staropanieńskiego.

W roli Arlety wystąpiła świeżo zaangażowana artystka p. Hanka Brochocka, podbijając widownię swym wdziękiem i talentem. Z innych wykonawców należy wymienić: Seweryna Butryma, Zygmunta Rewkowskiego, Podgórską, Czechowską i Hawryłkiewicza.

Należy zanotować cenną innowację, wprowadzoną w tym sezonie: scenę **obrotową** pozwalającą na daleko sprawniejsze tempo zmian dekoracyjnych.

POZNAŃ. Najnowszą premjerą teatru Polskiego była lekka komedja **„Wieczne pióro"** węgierskiego pisarza Wł. Fodora. Głównym motywem tej bezpretensjonalnej sztuczki jest zazdrość. Autor poprzestaje na dość „papierowej!" intrydze, okraszonej garścią dowcipów.

W rolach głównych ujrzeliśmy pp.: Burbiankę, Veithównę, Domańskiego, Jaworską, Młodnickiego i Strzeleckiego.



W wystawionej przez teatr im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach komedji Romana Niewiarowicza: „Gdzie djabeł nie może..." rolę Janki kreuje z wdziękiem p. Zofja Grzebska (na zdjęciu). Fot. Datka — Katowice.

NOWA PLACÓWKA ARTYSTYCZNA.

W ubiegłym tygodniu powstała **Spółdzielnia Pracy Artystów Scen Polskich w Warszawie**, której statut podpisały następujące osoby, przeważnie z pośród artystów operowych: Ada Sari, Lucyna Szczepańska, Edward Bender, Jerzy Czaplicki, Antoni Gołębiowski, Jarosław Goebel-Tarnawa kpt. rez. Stefan Krzaczyński, współtwórca Zw. Oficerów Rezerwy oraz Zw. Rezerwistów, Mieczysław Lewicki, Mieczysław Pianowski. Edm. Płoński, Mieczysław Salecki, Józef Wodyński i Mieczysław Zudar.

Zadaniem spółdzielni jest organizowanie przedstawień teatralnych we wszystkich miastach Polski jak również w ważniejszych skupiskach polskich zagranicą. Organizatorzy mają przyrzeczoną pomoc władz państwowych i samorządowych.

Jeszcze we wrześniu Spółdzielnia zamierza wystawić „Cyrulika Sewilskiego" w obsadzie: Rozyna — Ada Sari, lub L. Szczepańska, hr. Almaviva — Miecz. Salecki lub A. Wroński, Figaro — J. Czaplicki lub Edm. Płoński, Don Basilio — E. Bender lub J. Goebel-Tarnawa, Don Bartolo — Folański lub Mironowicz, Berta — Emma Szabrańska, kapelmistrz — prof. Bron. Wolstal.

Prócz „Cyrulika Sewilskiego" Spółdzielnia organizuje zespoły koncertowe (muzyka, śpiew, humor, tańce) które rozpoczną wkrótce objazd miast wojewódzkich i powiatowych.

NA NAJKRÓTSZEJ FALI

NIEDZIELA — dnia 12. IX.

9.30 Regionalna transmisja z Chełmna: a) Pieśni Ludowe, b) Uroczyste nabożeństwo z Katedry.
12.03 Radosny poranek — koncert z płyt.
13.10 Gdy zadźwięczą mandoliny — koncert popularny.
14.10 Transmisja fragmentu „Dożynek" z folw. „Barki" pow. wileńsko-trockiego.
14.40 Wszystkiego po trochu — audycje dla dzieci.
15.00 Audycja dla wsi.
16.00 „Zapraszamy do Łazienek" — koncert Ork. Symf. P. R. i Małej Orkiestry P. R.
19.00 Wznowienie słuchowiska p. t. „Wielka wygrana".
19.20 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego.
20.05 Wiązanka melodyj Fr. Lehara. Transmisja z Wiednia.
21.00 „Djabeł w zalotach — czyli podróż djabła na wesele" — wesoła audycja ze Lwowa.
22.00 Recital śpiewaczy Sergjusza Gagarina.

PONIEDZIAŁEK — dnia 13. IX.

11.40 Ludwik van Beethoven: Sonata As-Dur op. 110.
12.25 Edward Grieg: dwa utwory.
12.40 „Od warsztatu do warsztatu".
16.15 Koncert orkiestry Filharmonji Warszawskiej z Ciechocinka.
16.45 Lwów na szlaku czarnomorsko-bałtyckim — odczyt.
17.00 „Papa Franck" — reportaż muzyczny.
18.15 Wyjątki z baletu (płyty).
19.00 Audycja strzelecka.
20.00 „Przy winku" — koncert rozrywkowy.
21.45 „Ogniwa" — odpowiadanie Elizy Orzeszkowej.
22.00 Pieśni polskie w wykonaniu Mieczysława Saleckiego.
22.20 Henryk Melcer: Trio fortepianowe op. 2

WTOREK — dnia 14. IX.

12.25 Koncert Ork. Filharm. Warsz. z Ciechocinka.
16.00 Rzeczy ciekawe z pięciu części świata — aud. dla dzieci.
16.20 Franciszek Schubert: 6 Moments musicaux op. 96.
16.45 „W największym parku Polski" feljeton.
17.00 Koncert solistów.
18.15 Z oper jazzowych Kreneka i Weilla (płyty).
19.00 Niezawodny środek — skecz.
19.15 Koncert kameralny.
20.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.
20.40 Reportaż ze Zjazdu młodzieży rzemieślniczej.
21.00 „Don Carlos" — opera. Transmisja z Rzymu.
22.00 „Ogniwa" 9 opowiadanie Elizy Orzeszkowej.

ŚRODA — dnia 15. IX.

11.40 Franciszek Liszt (płyty).
12.25 Koncert Orkiestry Salonowej z Łodzi.
16.00 Różne warsztaty pisarskie — szkic literacki.
16.15 Na polską nutę — koncert popularny. Transmisja z pawilonu radjowego na Targach Wschodn.
16.45 „Oddziały partyzanckie na Wileńczyźnie w r. 1919", odczyt.
17.00 Koncert Orkiestry Filharmonji Warszawskiej z Ciechocinka.
17.50 Sztuczna guma — pogadanka.
18.15 Przy akompanjamencie gitary (płyty).
21.00 Koncert chopinowski w wyk. Henryka Sztompki.
21.45 „Ogniwa" — opowiadanie Elizy Orzeszkowej.
22.00 Wieczorny koncert muzyki lekkiej pod dyr. Fitelberga.

CZWARTEK — dnia 16. IX.

11.40 Muzyka z płyt.
12.25 Koncert Orkiestry Wojskowej.
16.15 Utwory na dwa fortepiany.
16.45 „Niewidomi, którzy widzą" — reportaż z Lasek.
17.00 Z wesołą piosenką przez Targi, koncert rozrywkowy. Transm. z Pawilonu Radjowego na Targach Wschodnich.
18.15 Wiązanki na organach Wurlitzera (płyty).
19.00 „Kasper Karliński" — dramat Wł. Syrokomli.
20.00 „Rok 1885 — najnowsze tańce" w wyk. Małej Ork.
21.05 „Rok 1937 — najnowsze tańce" w wyk. Małej Ork.
21.45 „Ogniwa" — opowiadanie Elizy Orzeszkowej.
22.00 Recital śpiewaczy Luby Lewickiej.
22.30 Aleksander Tansmann: Suita — Divertissements (płyty).

PIĄTEK — dnia 17. IX.

11.40 Gra Arnold Földessy — wiolonczela (płyty).
12.25 Koncert w wyk. Orkiestry Wileńskiej. Transmisja z Wystawy Radjowej w Wilnie.
16.15 Muzyka salonowa.
16.45 Życie jak przed dwudziestu wiekami — reportaż.
17.00 Koncert Ork. P. R. pod dyr. Z. Godlewskiej.
18.15 Japońskie motywy (płyty).
19.00 Koncert solistów.
20.00 „Z operetek" — koncert rozrywkowy.
21.45 „Książę poetów" — kwadrans poetycki.
22.00 Recital skrzypcowy Feliksa Eyle.
22.25 Pieśni Carmencity (hiszpańskie pieśni ludowe).

SOBOTA — dnia 18. IX.

11.40 Polonezy (płyty).
12.25 Koncert orkiestry wojskowej.
16.00 „I my też urządzamy koncert" aud. w wyk. zespołu dziecięcego (z Wystawy Radjowej w Wilnie).
16.30 Sonaty na wiolonczelę i fortepian.
17.10 Suity Czajkowskiego i Sibeliusa koncert.
17.50 W zamku Zawiszy Czarnego — pogadanka.
18.15 Piosenki filmowe.
19.00 „Górnik i hutnik w pieśni" — aud. słowno-muzyczna.
20.00 „Byli i będą" — audycja dla Polaków zagranicą.
21.05 Koncert rozrywkowy.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.